

Jessica Hart

Słodkie kłopoty

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Purdy bezradnie oparła się o kierownicę. Straciła już wszelką nadzieję, gdy nagle usłyszała warkot silnika. Nareszcie! Szybko wygramoliła się z samochodu i rozejrzała się niecierpliwie. Na szczęście słuch jej nie mylił. Mocno wysłużona ciężarówka mknęła drogą, zostawiając za sobą chmurę rdzawego pyłu. Purdy uniosła w górę ramiona i zaczęła nimi energicznie wymachiwać, jakby jej rozkraczone na środku drogi auto nie stanowiło już wystarczającej przeszkody.

Ciężarówka zatrzymała się, a kierowca uchylił okno od strony pasażera.

- Zdaje się, że potrzebujesz pomocy? - zapytał. Jego pogodna twarz wydała jej się dziwnie znajoma.

Nat... Nat Jakiśtam. Tyle zdołała sobie przypomnieć. Był jednym z sąsiadów Grangerów, o ile oczywiście odległość kilkudziesięciu kilometrów można nazwać sąsiedztwem.

- Witaj - powiedziała, zdejmując z twarzy okulary przeciwsłoneczne.

Nat wychylił się z kabiny, skinął lekko głową i spojrzał w srebrzystoszare oczy, jeszcze lśniące po niedawno przelanych łzach.

- Tak się cieszę, że się zjawileś - dodała. - Właśnie przyzwyczajałam się do myśli, że spędzę tu najbliższą noc. Niezbyt miła perspektywa, ale za głupotę trzeba płacić.

Nat wyłączył silnik i wysiadł z ciężarówki. Był wysokim, postawnym mężczyzną tuż po trzydziestce.

- Purdy, mam rację?

- Zgadza się - potwierdziła zdziwiona.

- Jestem Nat Masterman. Masterman, oczywiście!

- Wiem, bywasz czasami u Grangerów. Ale jakim cudem ty mnie pamiętasz? Nikt nie zwraca uwagi na kucharkę...

Jej twarz, okolona burzą ciemnobrązowych włosów, była bardziej interesująca niż ładna. Co innego oczy. Nat mógłby przysiąc, że nigdy nie widział tak niezwykłego, srebrzystoszarego blasku. I ten uśmiech... Szczególnie wtedy, kiedy w pobliżu pojawiał się Ross Granger.

- To zależy tylko od tego, jak gotuje - odpowiedział.

- Pieczesz najlepsze szarlotki, jakie kiedykolwiek jadłem.

- Doprawdy? - Miło było pomyśleć, że jest się w czymś dobrym. Jej nie zdarzało się to każdego dnia.

- Dziękuję.

- W czym problem, Purdy? Jej uśmiech natychmiast zgasł.

- Jak już wspomniałam, w mojej głupocie. - Westchnęła ciężko. - Przed wyjazdem zapomniałam sprawdzić, czy bak jest pełny, i oczywiście nie był. Dlatego sterczę tu już... - zerknęła na zegarek - co, tylko godzinę? Byłam pewna, że co najmniej ze trzy.

Gdyby chociaż upał nie był tak niemiłosierny. W okolicy nie rośło żadne, najlichsze nawet drzewo, mogące dać choćby namiastkę cienia. Wszystko, co mogła zrobić, to siedzieć cierpliwie w samochodzie i modlić się o cud.

- Jasne, w takich sytuacjach czas dłuży się niemiłosiernie.

Nat wciąż patrzył na nią z uwagą, zaś Purdy z przykrością uświadomiła sobie, że musi koszmarnie wyglądać, wycieńczona i lepka od potu.

- To moja wina. Grangerowie już pierwszego dnia ostrzegli mnie, żebym nigdy nie opuszczała Cowen Creek bez sprawdzenia poziomu benzyny w baku. Ale cóż, byłam tak zabiegana, że z ledwością pamiętałam, jak się nazywam. Zabrakło mąki, cukru i mnóstwa innych rzeczy. Chciałam jak najszybciej pojechać do sklepu, by zdążyć przed obiadem. No i utknęłam tutaj.

Nie zdradziła się, co było głównym powodem jej podróży. Otóż w domu zabrakło również ulubionego puddingu Rossa.

- Zdarza się - mruknął pocieszająco. Prawdę mówiąc, ludziom, którzy mieszkali tu dłużej niż tydzień, to się nie zdarzało, bowiem podobną nieostrożność można było przypłacić życiem. Ale cóż, panna Purdy wyglądała na dosyć oryginalną osobę.

- Nie wiem, jak mogłam być tak głupia. - Westchnęła ciężko.

- Na szczęście nie aż tak głupia, żeby wysiąść z samochodu i ruszyć piechotą do domu.

Głos Nata był spokojny i nad wyraz sympatyczny, wręcz kojący. Purdy spojrzała na niego z wdzięcznością.

Cóż, nie był w jej typie jak Ross, ale sprawiał wrażenie człowieka miłego, przyjaznego i opiekuńczego. W sam raz na trudne chwile. Lepiej nie mogła trafić.

- Może masz rezerwowany kanister benzyny? - Była jeszcze szansa, by pognać do sklepu i wrócić do Cowen Creek, nim Ross zauważyłby, że jej nie ma. No i dostałby na czas swój ulubiony pudding.

- Niestety.

- Ach tak... - Z trudem ukryła rozczarowanie. - Nat, czy jedziesz do Cowen Creek?

A niby dokąd? - dodała w duchu. Niepotrzebnie pytała, bowiem droga prowadziła właśnie tam.

- Jasne, że do Cowen Creek. Mam sprawę do Billa.

- Mogę się z tobą zabrać?

Znów niepotrzebnie pytała. W tym klimacie i w takiej pustce wszyscy pomagali sobie w trudnych sytuacjach. Było to normą.

- Oczywiście... Słuchaj, a może najpierw podwiozę cię do Mathison? - Powiedział to zupełnie spontanicznie, bez zastanowienia. Coś w niej go ujęło, skrywana bezradność, a

może intrygujący błysk srebrzystoszarego spojrzenia? Kiedy Purdy spojrzała na niego ze zdziwieniem, dodał: - Mogłabyś zrobić zakupy, a ja zorganizowałbym jakiś kanister.

Powiedział to tak naturalnie, jakby było czymś zupełnie oczywistym nadkładanie kilkudziesięciu kilometrów dla prawie nieznanym dziewczyny.

- Przecież mówiłeś, że masz jakąś sprawę do Billa - powiedziała niepewnie. Była kompletnie zaskoczona tym, że to, o co modliła się przez ostatnią godzinę, nagle zaczyna się spełniać.

- Nie ma pośpiechu - odparł. Wciąż nie pojmował, dlaczego tak się zachował.

- Ale...

- Oczywiście, jeśli nie masz na to ochoty, możemy jechać prosto do Cowen Creek.

- Nie! - wykrzyknęła gwałtownie, bojąc się, że straci taką okazję. - Jeśli naprawdę możesz najpierw pojechać do Mathison, byłoby cudownie.

Otworzył drzwi ciężarówki.

- W takim razie wskakuj.

- Uratowałeś mi życie - odezwała się, zajmując miejsce w środku wozu.

- Nie przesadzaj - powiedział z lekkim zdziwieniem. - Nic ci nie groziło, dopóki siedziałaś w samochodzie. Przecież Grangerowie, jak tylko by zauważyli, że długo ciebie nie ma, rozpocząłoby poszukiwania. Zawsze tak tu robimy.

Purdy przymknęła powieki, rozkoszując się strumieniem chłodnego powietrza. Dopiero kiedy znalazła się w Australii, doceniła, jak wspaniałym wynalazkiem jest klimatyzacja.

- Wiem, że nic by mi się nie stało, bo wreszcie ktoś by mnie znalazł, ale dzięki tobie nie będę musiała tłumaczyć się przed wszystkimi, jaka ze mnie idiotka. To byłoby straszne.

- Przecież Grangerowie to świetni ludzie i na pewno by się na ciebie nie złościли ani nie kpili.

- I to właśnie jest najgorsze. Nie powiedzieliby złego słowa, ale jak ci ktoś ufa, to nie chcesz wychodzić przed nim na głupka. A wciąż mi się to zdarza... Kiedy dostałam u nich pracę, od razu wiedziałam, że nic lepszego nie mogło mi się przytrafić. Są dla mnie tacy mili... Pan i pani Grangerowie... I Ross, oczywiście. - Już samo wymienienie jego imienia przyprawiało ją o niespokojne trzepotanie serca. Miała jednak nadzieję, że Nat nie jest aż tak spozstrzegawczy. - Są zbyt mili, by wreszcie powiedzieć mi, jaka ze mnie za idiotka - zakończyła z rezygnacją.

Nat spojrział na Purdy. Z całą pewnością nie wyglądała na idiotkę. Jej twarz promieniała ciepłem, intrygowała. Łagodna linia profilu, nieuchwytny urok...

- Dlaczego mieliby tak myśleć?

- Bo taka jest prawda. Odkąd tu jestem, niczego nie udało mi się zrobić tak jak należy.

- Zaraz, zaraz. Bill Granger mówił mi, że jesteś najlepszą kucharką, jaką kiedykolwiek mieli.

- To żadna sztuka. - Wzruszyła ramionami. - A ja chcę robić to, co wszyscy tutaj potrafią, poza mną oczywiście...

- To znaczy co?

- Łapanie źrebaków na łąso, oporzadzanie krów w stodole. No i sprawdzanie poziomu benzyny, zanim wybiorę się w dłuższą podróż...

Uśmiechnął się.

- Wszystko przyjdzie z czasem. Musisz przywyknąć do naszych warunków.

- Minęły już niemal trzy miesiące - powiedziała bezradnie. - Jak długo jeszcze?

- W takim razie uznaj, że taka po prostu jesteś. Nie idiotka, broń Boże, tylko trochę inna. Dlaczego jest to dla ciebie aż tak ważne?

- W tym rzecz! - wykrzyknęła, jakby dotknął jej najczulszego punktu. - Urodziłam i wychowałam się w Londynie, ale nie chcę, żeby to zdeterminowało resztę mojego życia. Nie chcę, żeby wszyscy mieli mnie tutaj za głupią gąskę, która potrafi tylko obrać parę kartofli i upiec ciasto! Chcę stać się... - Chciała stać się kobietą, którą Ross Granger mógłby pokochać i poślubić. - Chcę stać się częścią tego świata. Należę do niego. Myślisz, że kiedykolwiek będzie to możliwe?

- Dlaczego by nie - odpowiedział, zdziwiony żarem, jaki odbijał się w jej spojrzeniu.

- Ross nie jest o tym przekonany. - Purdy opuściła wzrok. - Mówi, że trzeba się tu urodzić, by należeć do tego miejsca. Co najgorsze, chyba ma rację. Gdyby nie twoja pomoc... Przecież nie potrafię nawet wybrać się po głupie zakupy do miasta! Całe szczęście, że nikt z Grangerów nie musiał po mnie przyjeżdżać. Wszyscy są tacy zajęci...

- Niepotrzebnie się martwisz. - Nat nie odwracał wzroku od drogi. - Grangerowie cię lubią, to widać. A co najważniejsze, potrafisz gotować, a przecież właśnie tego od ciebie oczekują. Należysz tu, spełniasz swoją rolę. Dlaczego miałabyś cokolwiek zmieniać?

- Ponieważ Ross tego chce! - Słowa rozbrzmiały w powietrzu, zanim Purdy zdążyła je powstrzymać.

Zła na siebie odwróciła głowę w kierunku okna, i zdziwiony Nat ku swemu żalowi nie widział już jej profilu.

- Jesteś tego pewna? - zapytał po chwili. - Kiedy spotkałem was oboje na ślubie Ellie Walker, odniosłem wrażenie, że Ross lubi cię taką, jaką jesteś.

- Byłeś na tym ślubie? Jak to się stało, że wcale cię nie zauważyłam? - Wreszcie odwróciła się do niego.

A niby dlaczego miałabyś mnie zauważyć? - pomyślał cierpko. Nie każdy ma taki wygląd i urok jak Ross Granger.

Za to Nat zapamiętał Purdy doskonale. Tamtego wieczoru wyglądała jak ktoś, komu nagle pod stopami otworzyło się niebo. Nigdy nie zapomni jej szczęśliwego spojrzenia, gdy patrzyła na Rossa. Zazdrościł mu. To musi być wspaniałe uczucie, mieć obok siebie tak bardzo zakochaną dziewczynę.

- Odniosłem wrażenie, że nie widziałas nikogo poza Rossem - rzucił, nie odwracając od niej spojrzenia.

No cóż, tamtego wieczoru czuła się tak niewyobrażalnie szczęśliwa, jak jeszcze nigdy dotąd. Goście, para młoda, wszystko to stało się jedynie tłem dla faktu, że była z Rossem.

To były naprawdę cudowne godziny. Ross Granger poza nią nie zauważał innych dziewcząt. Przez całą noc tańczył, rozmawiał, śmiał się jedynie z nią. A na koniec, kiedy odwoził ją do Cowen Creek, pocałował.

Następnego dnia Purdy napisała do rodziny w Londynie długi list, który dałby się streścić jednym zdaniem: Wreszcie znalazłam miłość swego życia.

I rzeczywiście tak było. Niestety, nie wyglądało na to, by również Ross znalazł swoją.

- Kocham Rossa Grangera - powiedziała cicho. Ciężar, który nosiła w sercu, z czasem stawał się nie do

zniesienia, a jedyną kobietą mieszkającą w Cowen Creek, której ewentualnie mogłaby się zwierzyć, była matka Rossa...

Nat Masterman nie był prawdopodobnie idealnym słuchaczem, ale z całą pewnością mogła mu zaufać.

- Nigdy jeszcze nie czułam niczego podobnego do żadnego mężczyzny - kontynuowała, nie patrząc w jego stronę. Skoro zaczęła, nie mogła przestać. - Zakochałam się w nim, w chwili kiedy ujrzałam go po raz pierwszy. Zupełnie jak



w książkach. To było tak, jakby marzenie nagle stało się jawą... - Westchnęła cicho. Obraz roześmianego Rossa, gdy witał ją na płycie lotniska, był wspomnieniem równie słodkim, co zniewalającym. - Nie chodzi tylko o jego wygląd - ciągnęła z namaszczeniem. - Ross jest zabawny, czarujący, uroczy, a przy tym mocno stąpa po ziemi. Trudno mi to wszystko wytłumaczyć... Chodzi o to, że jest jedynym mężczyzną, jakiego... jakiego do tej pory pragnęłam.

Nat zerknął w jej kierunku i zaraz odwrócił wzrok na drogę. O co, do diabła, chodzi z tym całym Rossem? Dlaczego każda kobieta w promieniu stu kilometrów, niezależnie od stanu i wieku, wodziła za nim maślanymi oczami? Ta epidemia dotknęła również Purdy...

- Więc w czym problem? - zapytał.

- Problem? - powtórzyła zdziwiona. Mówiła bardziej do siebie niż do Nata i jego pytanie trochę ją zaskoczyło. No tak, zwierza się obcemu facetowi... Ale co tam, jej już wszystko jedno.

- Nie mówiłabyś mi tego, gdyby wszystko było w porządku, prawda?

- Masz rację... - W jej głosie pobrzmiwała wyraźna rezygnacja. - Nie wszystko jest w porządku. Ross lubi mnie, ale nic więcej. Mówiąc wprost, nie kocha mnie. Nasza znajomość będzie trwać tak długo, jak długo ważna będzie moja wiza. Grangerowie zatrudniają kogoś do kuchni każdego lata. Jak przypuszczam, Ross niejednej kobiecie złamał serce. Jestem dla niego sezonową ciekawostką, niczym więcej...

Znając wyczyny Rossa, Nat musiał w duchu przyznać Purdy rację. Nie widział jednak powodu, by dzielić się z nią tą wiedzą.

- Znam Rossa - zaczął trochę wbrew sobie. - Jest porządnym facetem, tyle tylko, że jeszcze bardzo młodym.

- Co ty, przecież ma już dwadzieścia siedem lat, o dwa więcej niż ja.

- To prawda, ale Ross jeszcze nie myśli o ustatkowaniu się. Musi minąć trochę czasu, zanim...

- Zanim zacznie szukać żony - dokończyła gorzko Purdy.  
- Z pewnością będzie to któraś z miejscowych piękności, która da mu ciepły dom i gromadkę wesołych dzieciaków.

No cóż, ma rację, pomyślał Nat.

- Powiedział ci to wprost? - zapytał, siląc się na obojętność.

- Nie musiał. - Purdy tępo wbiła wzrok w drogę. - Dał mi jasno do zrozumienia, że przyjemnie jest spędzić ze mną trochę czasu, ale nie całe życie. - Oczy Purdy niebezpiecznie się zaszklily. Zacisnęła powieki, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. - Nie jestem stąd. I nigdy nie będę - dokończyła rozdygotanym głosem.

- Nie możesz winić za to Rossa - powiedział Nat, choć czuł, że nie do końca jest to prawda. - Życie tutaj jest ciężkie, ma prawo obawiać się, że nie dałabyś sobie rady.

- Wszystko, czego pragnę, to udowodnić, że tak nie jest! - wykrzyknęła. Srebrzystoszare błyski w jej oczach wydawały się być teraz ostre jak sztylety.

- A więc niczego nie musisz się obawiać - westchnął Nat. Jak dalej miał prowadzić tę rozmowę? Kompletnie nie wiedział. - Zobaczysz, zanim jeszcze nadejdzie koniec sezonu, zaczniesz się czuć w Cowen Creek tak swobodnie, jakbyś się tam urodziła. Nie jest też powiedziane, że Ross nie zmieni zdania...

- Nie mam tyle czasu - jęknęła Purdy. - Najdalej za trzy tygodnie muszę być w Londynie.

- Kończy się ważność twojej wizy?

- Nie, moja siostra wychodzi za mąż. - Ponownie odwróciła się do okna.

Prawdę mówiąc, gdyby nie ślub siostry, za nic nie opuściłaby Australii. Choć wychowana w Londynie, nie cierpiała jego szarych ulic, szarych domów i szarych chmur na szarym niebie.

Co innego Cowen Creek. Tu nawet zwykła trawa miała cudowną, intensywną, przesyconą słońcem i wiatrem barwę. A poza tym zawsze w pobliżu był Ross. Szczególnie lubiła patrzeć, jak pędził na koniu. Tak swobodnie trzymał się w siodle i tak cudownie, wprost anielsko się uśmiechał...

Purdy westchnęła ciężko.

- T u n i e c h o d z i t y l k o o R o s s a - powiedziała jakby do siebie. - Po prostu kocham to miejsce. Kiedy tu przyjechałam, poczułam się, jakbym wróciła do domu. Jakbym wszystko tutaj znała od zawsze. Tę niewiarygodną ciszę, wspaniałe, palące słońce, śpiew ptaków... Nawet odgłos ciężarówki na drodze. - Rzuciła w kierunku Nata niepewne spojrzenie. - I to jest główny powód, dla którego chciałabym należeć do tego miejsca. - Zamilkła na chwilę, a potem spytała cicho: - Czy to w ogóle ma jakiś sens?

- Oczywiście, że ma. - Nat obdarzył ją ciepłym, akceptującym uśmiechem. - Tak samo myślę o naszej okolicy. Czuję podobnie jak ty. To najwspanialsze miejsce na świecie. - Wcale nie była to zdawkowa deklaracja, płynęła bowiem z głębi serca.

- Naprawdę? - Była mu wdzięczna za te słowa, a zarazem zaintrygowana.

Wiedziała już, że Nat jest spokojny, opanowany i życzliwy, lecz teraz spostrzegła coś więcej. Jakiś wewnętrzny liryzm, głębię uczuć... W każdym razie takie odniosła wrażenie.

Wreszcie przyjrzała mu się uważnie kobiecym okiem. Na swój sposób był przystojny, choć nie tak uderzająco jak Ross, który reprezentował urodę filmowego amanta. Miękkie włosy miały ciepły odcień gorącej czekolady, oczy również były brązowe. Nawet skóra na twarzy i silnych dłoniach miała ciepłą, brązową barwę. Barwę słońca.

Było w nim jeszcze coś, co nie do końca potrafiła określić. Może to ten niesamowity spokój, bijący z każdego jego ruchu? Może zaufanie, jakie wzbudzał? A może uśmiech, który w ciepły sposób rozświetlał spokojną, surową twarz i nadawał jej wyraz wszechogarniającej akceptacji?

Naprawdę szkoda, że Nat uśmiechał się tak rzadko, westchnęła w duchu na wspomnienie olśniewającej bieli zębów, ciepłych ogników połyskujących w oczach... i delikatnego, niemal niezauważalnego drżenia, jakim na ten uśmiech odpowiedziało jej ciało.

Zdziwiony ciszą, jaka zapadła, Nat odwrócił na chwilę głowę od szosy. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Speszona Purdy spuściła wzrok.

- Jesteś prawdziwym szczęściarzem - odezwała się po chwili. - Urodziłeś się tutaj. Nie musisz wracać do innego kraju i miasta, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczysz to miejsce...

Nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, ważył słowa.

- Powinnaś tu wrócić po ślubie siostry - powiedział wreszcie. - Jestem pewien, że Grangerowie z radością przyjmą cię ponownie do pracy.

- Jasne - potwierdziła bez entuzjazmu. - Kłopot w tym, że na bilet do Australii muszę oszczędzać przez wiele miesięcy. Żeby kupić następny bilet, musiałabym wszystko zacząć od początku. A najlepiej napaść na bank.

- Nie powinnaś być aż taką pesymistką. - Nat zawiesił głos, jakby chwilę rozważając coś w myślach. - Znasz się na dzieciach?

- Dzieci? - powtórzyła, zaskoczona nagłą zmianą tematu. - Mówisz o tych niepozornych istotkach, które produkują tony brudnych pieluch i uwielbiają drzeć się po nocach?

- Jak widać, dobrze znasz temat - skwitował.

- Owszem. Opiekowałam się dziećmi mojej starszej siostry, zanim nie podrosły na tyle, by pójść do przedszkola. Praca przy nich była najcięższym zajęciem, jakiego kiedykolwiek się podjęłam, ale przy tym najwdzięczniejszym. Dzieciaki są... - Przerwała w pół słowa. - Czy... czy znasz kogoś, kto potrzebuje niani?

- Owszem. - Uśmiechnął się ledwie zauważalnie. - Znam.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Chodzi o ciebie? - Oczy Purdy rozszerzyły się w najszczerzym zdumieniu. - Masz dzieci?!

Nie powinna się dziwić, że Nat Masterman mieszka w przytulnym domku z żoną i gromadką dzieci. Przecież to takie oczywiste. Dlaczego jednak poczuła się rozczarowana?

Ciekawe, jak wygląda pani Masterman, przeleciało jej przez głowę. Pewnie jest kulturalną, zaradną i pracowitą kobietą, która przed dłuższą drogą nigdy nie zapomina sprawdzić poziomu paliwa w baku...

- Będę miał dwoje.

Nie mogła pojąć, dlaczego, choć się uśmiechnął, zarazem był smutny.

- Urodzą się wam bliźnięta, tak?

- Już są na świecie. Daisy i William, ośmiomiesięczne bliźniaki. To dzieci mojego brata. Wkrótce stanę się ich prawnym opiekunem.

- To znaczy, że twój brat i bratowa... - Urwała. - Mój Boże...

- Zginęli w wypadku samochodowym - powiedział cicho. - Kilka miesięcy temu, w Anglii.

- To straszne. Tak mi przykro. - Tylko w tak konwencjonalny sposób potrafiła zareagować.

- Ed i Laura pobrali się tutaj, ale bratowa była Angielką, jak ty. Byli tu szczęśliwi, tym bardziej że Laura pokochała te strony, jednak kiedy na świat przyszły dzieci, postanowili pokazać je dziadkom i polecili do Londynu. Miało ich nie być tylko przez miesiąc... Pewnego dnia zostawili dzieci z dziadkami i pojechali na małą wycieczkę. Zderzenie czołowe, zginęli na miejscu. Szczęście w nieszczęściu, że dzieci nie było z nimi.

- Biedactwa, same zostały na świecie... Gdzie są teraz? - zapytała Purdy.

- W Londynie, ze swoimi dziadkami. Oboje są już w podeszłym wieku. Poza tym Laura i Ed chcieli, by ich dzieci dorastały w Australii. Przed wyjazdem uczynili mnie prawnym opiekunem Williama i Daisy, w razie gdyby coś im się stało. Wtedy uznałem to za przesadną ostrożność, ale oczywiście się zgodziłem... - Zawiesił głos. - To dziwne, bo Laura i Ed nie miewali jakichś dziwnych tajemniczych przeczuć, jednak tym razem coś im kazało tak postąpić - dokończył głucho. - Rozumiesz teraz, dlaczego ci o tym wspominał. Nie mam najmniejszego pojęcia o dzieciach. Sądzę, że moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. Proponuję ci bilet powrotny do Australii za pomoc przy bliźniakach, co ty na to?

Była naprawdę zdumiona.

- Ależ to... to się nie godzi. Wiesz, ile kosztuje przelot do Londynu i z powrotem? Chcesz wydać tyle pieniędzy w zamian za sąsiedzką pomoc?

- Ta pomoc będzie dla mnie bezcenna, Purdy. Nauczysz mnie wszystkiego, co dotyczy dzieci. Jak się je karmi, przewija, kąpie, jak należy się z nimi bawić. Absolutnie wszystko. Czy możesz się tego podjąć?

- Oczywiście, ale...

- To jeszcze nie koniec. Eve, niania, która opiekuje się dziećmi w Londynie, twierdzi, że zrobię im krzywdę, gdy nagle je wyrwę ze znanego im świata. I pewnie ma rację. Będę więc musiał pobyć w Anglii przez jakiś czas, by przyzwyczały się do mnie. Dopiero potem zabiorę je do Australii.

- Rozumiem. - Purdy z namysłem pokiwała głową. - W ten sposób przyzwyczajają się do nas obojga...

- Właśnie. Ale jest jeszcze coś. Ashcroftom, teściom Eda, bardzo leży na sercu dobro wnuków. Byli zaniepokojeni, że Daisy i Williama ma wychowywać samotny mężczyzna,

dlatego po pogrzebie powiedziałem im, że jestem zaręczony. Ucieszyli się, że ich wnuki będą dorastać w prawdziwej rodzinie. Obiecałem im, że następnym razem przywiozę ze sobą narzeczoną, by mogli ją poznać.

- Nie wiedziałam, że jesteś zaręczony. Dlaczego te słowa wypowiedziała z takim trudem?

- Wtedy byłem - odpowiedział Nat. - Ale już nie jestem.

- Przykro mi.

- Nie musi ci być przykro - oznajmił spokojnie. - To była nasza wspólna decyzja. Kathryn i ja znaleźliśmy się wystarczająco długo, by do niej dojrzeć. Ona dostała świetną pracę w Perth, ja dwójkę malutkich dzieci. Jak mogłem żądać od niej takiego poświęcenia? Rozstaliśmy się w zgodzie. Nie było nam po drodze, i tyle. Tak jest lepiej i dla niej, i dla mnie.

Starał się nie dać tego po sobie poznać, ale Purdy była pewna, że nie jest mu łatwo mówić o byłej narzeczonej. Być może wciąż był w niej zakochany?

Nie wiedziała, jak bolesne dla niego było pożegnanie z Kathryn. Zaprawiona goryczą słodysz ostatniego pocałunku, samolot wznoszący się w powietrze... i został sam. A potem niewysłowiona ulga. Co z tego, że ją kochał, skoro los jasno wskazał, że nie była mu przeznaczona? Zamknął ten etap. Nigdy już nie chciał widzieć Kathryn.

- Lepiej dla ciebie? Czy aby na pewno? - zapytała odrobinę zbyt ostro. - Zamierzasz sam poradzić sobie z dwójką niemowlaków?

Nawet jeśli Nata zaskoczył ton jej głosu, nie dał tego po sobie poznać.

- Będę musiał rozejrzeć się za jakąś nianią. Na nieszczęście ta, która opiekuje się dziećmi w Londynie, zamierza wyjść za mąż, nie będzie więc mogła tu przyjechać.



- Nie chce mieszkać w Australii? I to z powodu jakiegoś tam małżeństwa? - wyrwało się Purdy i natychmiast pojęła, że znów robi z siebie idiotkę.

- No cóż, zakochała się. - W oczach Nata rozbłysły wesołe ogniki i zaraz zgasły. - Wysłałem ofertę do kilku agencji, jednak do tej pory nie znaleźli nikogo odpowiedniego. - Zerknął w jej stronę. - Dlatego pomyślałem o tobie. Mówiłaś, że marzysz o powrocie do Australii. Mogłabyś zamieszkać u mnie, w Mack River, przynajmniej do czasu, aż znajdziesz coś bardziej odpowiedniego. Jestem pewien, że również Grangerowie by się ucieszyli.

- Zapytam ich - odpowiedziała szybko. - Mają już kogoś na moje miejsce, ale nie wiem, czy chodzi o stałą pracę, czy tylko do końca sezonu.

- Kiedy kończy się sezon, przyjezdni uciekają stąd, bo robi się nudno i ciężko. Jestem pewien, że tak samo jest i w tym przypadku.

Purdy uśmiechnęła się, jednak Nat nie odpowiedział jej tym samym. Niestety. A przecież potrafił tak pięknie, tak cudownie się uśmiechać...

Policzki ją paliły, oddech stał się dziwnie szybki... Na Boga, co się z nią działo?

Szybko odwróciła wzrok do okna i zajęła się swymi myślami.

Jeśli udałoby jej się wrócić do Cowen Creek, może Ross uwierzyłby wreszcie, że Purdy marzy tylko o tym, by na zawsze pozostać w Australii? I przestałby ją traktować jak jedną z przyjezdnych dziewczyn, które każdego lata rozpoczynają pracę w Cowen Creek, a gdy sezon dobiega końca, odjeżdżają, by już nigdy się nie pojawić.

Propozycja Nata oznaczała, że nie byłoby jej tu miesiąc, może odrobinę dłużej, a to nawet jak na Rossa zbyt krótki

czas, by o niej zapomniał. Co więcej, może stęskniłby się za nią? Mówią przecież, że rozłaka wzmacnia uczucie...

Purdy rzuciła ukradkowe spojrzenie w kierunku Nata.

Miał kilka lat więcej niż Ross i nie był tak przystojny, jednak z całą pewnością zasłużył na miano atrakcyjnego mężczyzny. Jak więc zareaguje Ross, gdy dowie się, że Purdy zamierza spędzić w towarzystwie Nata cały miesiąc?

Może stałby się zazdrosny? - przebiegło jej przez myśl.

Gdy przypomniała sobie, z jaką rozpaczą patrzyła w przyszłość jeszcze godzinę temu, uśmiechnęła się sama do siebie.

- Nat, wcale nie jestem idiotką.

- Wiem o tym - mruknął kompletnie zdezorientowany jej słowami.

- Wprawdzie jak idiotka nie sprawdziłam paliwa, ale okazało się to niezwykle mądrym i szczęśliwym posunięciem.

- Zachichotała.

- A więc się zgadzasz!

- Oczywiście! - wykrzyknęła, lecz po chwili dodała niepewnie: - Musisz jednak wiedzieć, że jeśli chodzi o dzieci, to nie mam aż tak dużego doświadczenia. Czy takiej właśnie osoby potrzebujesz? Jesteś tego pewien? Może w agencji znajdą ci kogoś bardziej odpowiedniego?

Nat wiedział, że nigdy się na to nie zgodzi. Zdecydował o tym niezwykle wyraz oczu Purdy, owe niepokojące srebrzystoszare błyski, jej łagodna, a zarazem niezwykle intrygująca twarz, w ogóle cała osobowość. Znali się tak krótko, a już zdążył ją polubić i nabrać do niej zaufania. Tak, to inteligentna dziewczyna i można na niej polegać, co w jego sytuacji było najważniejsze. Chwilami zabawnie naiwna, ale to tylko dodawało jej uroku. No i na pewno będzie świetną nianią. Bez trudu wyobraził sobie, jak tuli do siebie małe

dzieci, jak się z nimi bawi, spaceruje. Było w niej tyle miłości. Czuł to.

- Wolę, żebyś to była ty. - A może się mylił? Może to tylko pozory? Nie, z całą pewnością nie. - Jesteś miła, inteligentna, dobra...

- Przecież ledwie mnie poznałeś - zaproponowała.

- Masz świetne referencje, bo Grangerowie cię lubią i cenią. Poza tym kochasz te strony i chcesz tu wrócić, więc bez dwóch zdań musisz to być ty.

Dojechali na miejsce i Nat zatrzymał ciężarówkę.

Z całą pewnością Mathison nie należało do najpiękniejszych miast, jakie Purdy widziała w swoim życiu, bardzo je jednak polubiła. Więcej, zakochała się w małych, drewnianych domkach i starym, urokliwym kościółku. Za nic w świecie nie pogodziłaby się z myślą, że wszystko to widzi po raz ostatni.

Na szczęście propozycja Nata odmieniła jej przyszłość. Przynajmniej tę najbliższą.

Im więcej o tym myślała, tym jego oferta wydawała się atrakcyjniejsza. Będzie na ślubie swojej siostry, spotka się z najbliższymi, ale później wróci do Cowen Creek. Kto wie, co jeszcze się wydarzy? Czyżby naprawdę miało się okazać, że ona i Ross są sobie przeznaczeni?!

Kiedy Nat, napełniwszy kanister na najbliższej stacji benzynowej, wszedł do sklepu, odnalazł Purdy przy stoisku z warzywami. Sprawiała wrażenie nieobecnej. Po jej ustach błąkał się tajemniczy, rozmarzony uśmiech i nawet w półcieniu, jaki panował w sklepie, widać było, jak jej oczy jaśnieją srebrzystoszarym blaskiem.

- Wyglądasz na szczęśliwą - powiedział, a ona uśmiechnęła się szeroko.

Z rozczarowaniem stwierdził, że nie było w tym nic prócz przyjaźni.

- Bo tak jest. Jeszcze kilka godzin temu sądziłam, że cały mój świat legł w gruzach, że nigdy już nie zobaczę mojej ukochanej Australii i Rossa. Wtedy nagle pojawiłeś się ty i wszystko znowu stało się możliwe. - Spoważniała. - Mam przeczucie, że dzisiejszego ranka odmieniło się całe moje życie. I to wszystko dzięki tobie.

Twarz Purdy ponownie zajaśniała szczęściem. Nat zrobił krok do tyłu, zmieszany jej nagłą bliskością. Była taka promienna, ciepła, świeża i taka... otwarta.

I tak szaleńczo zakochana w Rossie Grangerze.

- Gotowa? - zapytał z ledwie hamowaną szorstkością.

- Tak. Zakupy stoją przy kasie.

Spod przyciemnionych okularów Purdy dyskretnie przyglądała się Natowi, próbując znaleźć przyczynę jego nagłej oschłości. Daremnie. Jego skupiona, pozbawiona najmniejszych śladów emocji twarz i przymrużone od słońca oczy nie zdradzały niczego.

Poczuła się niezręcznie. Zupełnie jakby swym szczęściem peszyła go, skłaniała do ucieczki w głąb siebie.

Dlaczego?

I nagle zrozumiała.

Podróż do Londynu i powrót do Australii były dla niej zapowiedzią przygody i szansą na spełnienie miłosnych i życiowych marzeń, zaś dla niego zwiastowały powrót do źródeł tragedii.

- Przepraszam - powiedziała cicho, zajmując miejsce w kabinie ciężarówki.

- Przepraszasz? Za co? - zdziwił się.

- Musiałam wyjść na kompletną idiotkę, kiedy opowiadałam ci o Rossie i o tym, jak się cieszę z twojej propozycji, podczas gdy jedyne, o czym myślałeś, to twój brat i jego dzieci. Czuję się okropnie. Powinieneś był powiedzieć mi, żebym się zamknęła.

Ruszyli w drogę.

No cóż, nie pamiętał o Edzie i Laurze, zapomniał też o bliźniakach. Jedyłą osobą, o której myślał, była Purdy.

- Nie powinnaś siebie obwiniać - mruknął, nie patrząc w jej stronę. - Ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie Ed i Laura, to rozpamiętywanie tego, co się stało. Zbyt mocno kochali życie.

- Musi ci ich brakować - wyszeptała po chwili krępującej ciszy.

Zawahał się. Nieczęsto zdarzało mu się opowiadać o swoich uczuciach, jednak przy Purdy przychodziło mu to bez trudu.

- Tak - potwierdził cichym głosem. - Ed był dwa lata młodszy ode mnie. Po śmierci rodziców razem gospodarowaliśmy w Mack River. Później, gdy poznał Laurę, zamieszkali na swoim. Nie widywaliśmy się już tak często, jednak... Czasami nadal nie mogę uwierzyć, że już ich nigdy nie zobaczę.

- Przykro mi - powtórzyła, wiedząc, jak głupio brzmiały te słowa. Wyrażały jednak to, co czuła.

- Mnie również - uśmiechnął się blado. - Jednak Ed i Laura nie żyją, dlatego najważniejsi są William i Daisy. I tego zamierzam się trzymać.

Dziwne, ale powrotna droga wydała się Purdy stanowczo za krótka. A przecież powinna się spieszyć do swoich obowiązków...

Gdy wysiedli z ciężarówki, Nat przeniósł zakupy do wozu Purdy i napełnił bak benzyną. Jak to się stało, że tak łatwo zdała się na jego opiekę? Jakby to było coś najbardziej naturalnego w świecie.

Aż trudno uwierzyć, że kilka godzin temu ledwie pamiętała, jak brzmiało jego imię. Ciekawe, jakie jeszcze niespodzianki szykuje przyszłość? Zaczęła się zastanawiać

nad wspólnym wyjazdem do Londynu. Ludzie zbliżają się do siebie w podróży...

Skarciła siebie w duchu. Nawet jeśli nie byłaby zakochana w Rossie, to i tak te fantazje są cokolwiek przedwcześnie. Nie wyglądało bowiem na to, by propozycja Nata była czymś innym niż tylko ofertą pracy.

Zresztą nie sądziła, by kiedykolwiek mógł potraktować ją poważnie. Co z tego, że miała już dwadzieścia pięć lat, skoro czuła się przy nim jak trzpiotka, i za taką pewnie ją uważał. Niania, proszę bardzo, ale ten poważny mężczyzna na pewno szukał innej partnerki, kobiety doświadczonej, ustabilizowanej emocjonalnie i materialnie. A ona była na życiowym rozdrożu. Uboga angielska kucharka zakochana w Australii... zakochana w Rossie.

Ciekawe, jaka była ta jego narzeczona? - zastanawiała się. Ciekawe, jakim jest kochankiem?

- Gotowe. - Nat przerwał jej rozmyślania. - Włącz silnik. Sprawdźmy, czy wszystko działa.

Wszystko było w porządku.

Nat podszedł do otwartego okna jej auta i oparł ramiona o dach.

- Jak bardzo jesteś zajęta w soboty?

- Popołudnia mam dla siebie - odpowiedziała zaskoczona.

- Dlaczego pytasz?

- Pozostało nam parę spraw, które powinniśmy omówić. Może przyjadę po ciebie do Cowen Creek i udamy się do mnie? Zapoznasz się z moim domem, przyzwyczaisz się do miejsca, w którym spędzisz jakiś czas. O ile oczywiście nie zmienisz zdania po pierwszym kwadransie spędzonym w Mack River. - Uśmiechnął się szeroko.

- Zgoda.

- W takim razie do zobaczenia.

- Sądziłam, że masz jakąś sprawę do Billa? - Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Miałem, ale to może poczekać.

W tej bliskości, gdy tak opierał się ramieniem o dach jej samochodu, było coś nieprzyzwoicie intymnego. Purdy wstrzymała oddech.

- Co mam powiedzieć Grangerom? - zapytała wreszcie.

- Cóż, spotkaliśmy się w Mathison. Nie mów im o benzynie i całej reszcie. Zaczęliśmy gawędzić i kiedy dowiedziałem się o twoim powrocie do Londynu, zaproponowałem ci pracę. Wiedzą o Edzie, Laurze i bliźniakach, więc nie będą zaskoczeni. Odpowiada ci taka wersja?

- Jasne. - Skinęła głową, zadowolona, że w końcu udało jej się oderwać wzrok od jego twarzy. - A więc do soboty.

Nat zawahał się, jakby zamierzał coś dodać, jednak tylko pomachał ręką na pożegnanie.

- Do soboty, Purdy.

Nie odwracając się, pojechała przed siebie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ostatecznie nie Nat był tym, kto w sobotę po obiedzie przywiózł Purdy do Mack River. Tym kimś był Ross.

- I tak wybierał się do Mathison - wyjaśniła, kiedy odprowadzali wzrokiem samochód Rossa. - Ale jeśli wieczorem mógłbyś mnie odwiedzić z powrotem, byłabym wdzięczna.

Mówiła za wiele i zbyt głośno, wiedziała o tym, jednak nieoczekiwanie poczuła się speszona i niepewna w towarzystwie Nata.

W jego powitaniu nie było nic osobistego. Potraktował ją jak zwyczajną nianię, która niedługo ma podjąć swoje obowiązki za uzgodnioną płacę. No cóż, przecież właśnie nianią zgodziła się być.

Nie było więc powodu, by jej serce drżało na widok Nata, widocznie jednak na tym świecie nie wszystko musi dziać się z jakiejś przyczyny...

- Wygląda na to, że ucieszyłaś się z takiego rozwiązania - skwitował jej wyjaśnienia. - Jedna chwila z Rossem więcej...

- Tak - przyznała, zbyt późno zdając sobie sprawę, że w jej głosie nie było zbyt dużego entuzjazmu. - Było cudownie.

- Co Ross na to, że zamierzasz wrócić do Cowen Creek?

- Sądzę, że jest zadowolony.

Łudziła się, że Ross wykaże choć odrobinę zazdrości z powodu oferty Nata, jednak nic takiego nie nastąpiło.

Jak się dowiedziała, wszyscy w Cowen Creek byli święcie przekonani, że ponowne zejście się Nata i Kathryn jest jedynie kwestią czasu. Ich zdaniem Nat nigdy nie kochał i nie pokocha żadnej innej kobiety. Jak ujął to Ross, on i Kathryn byli dla siebie stworzeni.

Purdy spojrzała na Nata spod rzęs. Najwyraźniej mieli rację. Nie wyglądał na kogoś o złamanym sercu, co jasno dowodziło, że uważał powrót Kathryn za sprawę przesądzoną.



Co oznaczało tym samym, że jej pomysł upadł, zanim na dobre się skryształizował. Pomysł, który przyszedł jej do głowy po ostatnim liście siostry...

Nat mieszkał we wspaniałym, starym domu, zbudowanym przez jego dziadka. Posiadłość otoczona była bujną, niemal dziką zielenią, i sprawiała wrażenie wygodnej, bezpiecznej twierdzy.

Po krótkim spacerze po okolicy Purdy zasiadła w cieniu werandy. Wyciągnęła ramiona na oparciach starego, wiklinowego fotela i rozejrzała się wokół. Wszystko wydawało się takie... chłodne, ciche i spokojne. Zupełnie jak Nat.

Gdy uśmiechała się do swoich myśli, na werandę wszedł Nat, niosąc dwa kubki świeżo zaparzonej kawy. Przystanął w miejscu, przyglądając się jej przez chwilę.

Rozparta wygodnie w fotelu, w dżinsach i bawełnianej koszulce, wydawała się taka szczęśliwa, spokojna i... zadowolona.

Ciekawe, o czym myśli? - przeleciało mu przez głowę.

A o czymże innym, jak nie o Rossie, zadrwił z samego siebie. O Rossie Grangerze i ich wspólnej przyszłości w Cowen Creek.

Cóż, jeśli to Ross właśnie był powodem, dla którego zgodziła się wyświadczyć Natowi przysługę, powinien być mu wdzięczny. Nie robiła przecież tego dla niego. Głupotą byłoby o tym zapominać.

Usłyszawszy kroki Nata, odwróciła się i stwierdziła ze zdziwieniem, że na jego twarzy ponownie nie malowało się nic prócz obojętności. Widocznie myliła się, sądząc, że spędzili całkiem miłe popołudnie.

- Cudownie tu - odezwała się, wskazując na ogród. - Aż chciałoby się tu zostać na zawsze!

- Cieszę się, że ci się podoba. - Uśmiechnął się nieznacznie. No cóż, nie miałyby nic przeciwko temu. - Przypuszczam, że Grangerowie bardzo odczują twoją nieobecność. Zatrzymali dla ciebie posadę w Cowen Creek?

- Niestety nie. Jak tylko powiedziałam, że muszę wcześniej wracać do Londynu, znaleźli kogoś na moje miejsce. Nie chcieli zostać bez kucharza.

- Rozumiem... Ale nadal zamierzasz wrócić do Australii?

- Jasne - potwierdziła z taką mocą, jakby na świecie nie istniało nic bardziej oczywistego. - Jeśli nawet nie do Cowen Creek, to pewnie znajdę coś w okolicy. To dosyć dobre rozwiązanie. Kiedy nie będziemy mieszkać w jednym domu, na dodatek z jego rodzicami, Ross nie będzie czuł takiego nacisku.

Natowi wydało się mało prawdopodobne, by dla Rossa mogło mieć to jakiegokolwiek znaczenie, jednak nie zamierzał wyprowadzać Purdy z błędu.

- Może w takim razie nieco rozszerzymy naszą umowę? Wciąż nie znalazłem nikogo odpowiedniego, więc po powrocie z Anglii mogłabyś nadal opiekować się Daisy i Williamem. Oczywiście wtedy zamieszkałabyś u mnie. - Po chwili, by nie było żadnych wątpliwości co do jego intencji, dodał: - O ile nie znajdziesz czegoś lepszego.

- Brzmi świetnie - odparła, zastanawiając się, jak długo potrwa, zanim Nat i Kathryn się pogodzą.

- Znakomicie. W takim razie zabukuję bilety na lot w przyszłym tygodniu. Kiedy dokładnie jest wesele twojej siostry?

- Ostatni weekend sierpnia, ale powinnam tam być przynajmniej tydzień wcześniej. - Westchnęła ciężko. - Cleo chce, żebym była jej druhną.

- Jakoś nie słyszę w twoim głosie entuzjazmu - zauważył, przyglądając jej się z zaciekawieniem. - Sądziłem, że wy, kobiety, uwielbiacie takie wydarzenia.

- Owszem, do czasu, kiedy nie zaczynają przypominać karnawału w Rio. - Roześmiała się. - No i już widzę te współczujące spojrzenia rodziny i przyjaciół domu. Od dawna uważają mnie za dziwadło.

- Na pewno przesadzasz.

- Jedno jest pewne. Bliźniakami będę mogła się zająć dopiero po ślubie - podsumowała, już zdenerwowana tym, co czekało ją w Londynie. Ploteczki, obgadywanie bliźnich, szykowanie kreacji, uzgadnianie weselnego menu...

- Nic nie szkodzi. Do tego czasu też będę musiał pozalać kilka spraw.

- Zamierzasz zatrzymać się u Ashcroftów?

- Nie. - Nat odstawił na bok kubek z herbatą. - Myślę, że z dwójką wnuków i nianią mają tam wystarczająco dużo zamieszania. Poszukam sobie czegoś w okolicy. Dobrze by było, gdybym od czasu do czasu brał dzieci do siebie na noc. Będą mogły przyzwyczaić się do mnie... i do ciebie.

- Świetny pomysł - potwierdziła, czując jednocześnie, jak na jej policzkach zaczynają pojawiać się rumieńce. Nawet jeśli przyszłoby im dzielić mieszkanie, nie będzie dla Nata nikim więcej niż nianią, wiedziała o tym. Jednak było w tej sytuacji coś niebezpiecznie intymnego. - Poproszę rodziców, by rozejrzeli się za jakimś mieszkaniem do wynajęcia, co ty na to?

- Byłoby świetnie. - Nat pokiwał w zamyśleniu głową. - Nie musiałbym się martwić przynajmniej o to.

- Wiem, że czekają cię trudne chwile. - Westchnęła. No cóż, ją również.

Nie mogła już ukrywać, że Nat intrygował ją coraz bardziej. Ot, taka na przykład linia jego brwi. zapach skóry,

inne drobiazgi... Przede wszystkim jednak zaciekawiała ją jego osobowość. Z jednej strony był mężczyzną otwartym na innych, uczynnym i sympatycznym, z drugiej jednak zamkniętym w sobie i skrzętnie skrywającym emocje. Czuło się, że jest człowiekiem czynu, zarazem jednak trzymał się jakby odrobinę z boku i z nieprzeniknioną twarzą uważnie wszystko obserwował.

Tajemniczy, niezwykły, ekscytujący mężczyzna. Gdzież Rossowi do niego! A jeszcze niedawno była święcie przekonana, że jest szaleńczo zakochana w tym lokalnym amancie!

Nagle się zawstydziała. Co ona wyrabia? Tak krótko jest w Australii, a robi maślane oczy do drugiego już faceta. Polubiła Nata, to prawda, ale serce skradł jej Ross...

- Sytuacja byłaby bardziej klarowna, gdyby Kathryn pojechała ze mną. - Purdy poczuła się, jakby ktoś ją smagnął biczem. - Chodzi mi o Ashcroftów. To ludzie starej daty i jest dla nich nie do przyjęcia, by samotny mężczyzna wychowywał dzieci. Obiecałem im, że przedstawię im swoją narzeczoną...

Purdy wzmogła czujność. Czyżby pomysł, z którym tu przyjechała, nie był aż tak niedorzeczny?

Zebrała się w sobie. No cóż, niewiele miała do stracenia. A co tam...

- Więc im ją przedstaw.

- Słucham? Nie namówię Kathryn... nawet nie śmiałybym prosić... żeby leciała do Londynu tylko po to, aby uspokoić Ashcroftów.

- Myślałam o sobie.

Uff, jakoś zdołała to powiedzieć.

Nat spojrział na nią, jakby naprawdę była jakimś dziwadłem, i to zrodzonym w północnych, mglistych jeziorach

Szkocji. Bo na cywilizowaną Angielkę nie wyglądała. Nie w tej chwili.

- Co takiego?

- Mogę być twoją narzeczoną. Oczywiście tylko na niby, dla innych ludzi.

Błyskawicznie przeanalizował sytuację i uznał, że pomysł, choć nieco ekstrawagancki, wcale nie był głupi.

- To by wiele uprościło - mruknął z ulgą, lecz zaraz dodał:

- Dzięki, Purdy, lecz nie mogę się na to zgodzić. Wystarczy, że pomożesz mi przy Williamie i Daisy, coś więcej byłoby wielkim poświęceniem. Jednak dziękuję za twoją wspaniałomyślność.

- Nie dziękuj, Nat, bo wcale nie jestem taka szlachetna. - Zaczerwieniła się. - Rzecz w tym, że ja również nie mogę pojawić się w Londynie bez narzeczonego. A zatem...

Wiele ją kosztowało to wstydlive wyznanie. Chciała się zapaść pod ziemię. Nat wszystkiego musiał się już domyślić i zaraz wybuchnie śmiechem nad jej skrajną naiwnością.

- Możesz mi to wyjaśnić? - spytał spokojnie. - Co dokładnie masz na myśli? - usłyszała głos Nata.

Na razie więc darował sobie kpiny. Ale tylko do czasu, była tego pewna. Bo teraz, kiedy zaczęła realizować swą wielką „intrygę”, straciła wszelkie złudzenia. Znow wyjdzie na idiotkę, bo taki już jej los.

Nat podszedł bliżej i stanął nad nią jak kat nad dobrą duszą. Może i dobrą, ale jakże głupią...

Purdy wiedziała, że musi wypić ten kielich goryczy do końca.

- Mówiłam ci już, że jestem skończoną idiotką - wyszeptała. - Chciałam pokazać, że jest inaczej, ale cóż... - Zrezygnowana opuściła głowę. - W rodzinie mają mnie za dziwaczkę, za brzydkie kaczątko, za życiową niezdare. No i wreszcie miałam tego dość, zbuntowałam się... - Głos

niebezpiecznie jej zadrżał. - Uciekłam z Londynu w szeroki świat, by znaleźć takie miejsce, gdzie zyskam akceptację, może nawet podziw... Pragnęłam wrócić do Anglii jako piękny łabędź...

Był twardym facetem, lecz ta rzewna, smętna opowieść rozczerła go. Nagle pojął, dlaczego Purdy wydawała mu się trochę naiwna. Nie, wcale nie była naiwna, tylko borykając się ze swym losem, wymyśliła sobie lepszy świat. Marzyła, i te marzenia próbowała wcielić w życie. Ujęło go to, choć wiedział zarazem, że tacy ludzie uchodzą za dziwaków stąpających w chmurach.

Doszedłszy do takich wniosków, zajął się studiowaniem jej urody. Ujmująca linia profilu, urocze, lecz zarazem niepokojące spojrzenie, błyszczące, ciemnobrązowe włosy... ale to nie było wszystko. Była szczera, spontaniczna, obdarzona niezwykłym naturalnym wdziękiem. I to właśnie czyniło ją piękną, choć nie mieściła się w żadnym z klasycznych kanonów urody. Nie była zimną blondynką, nie była ognistą brunetką czy rudowłosym wampem. Nie była ani kobietą dzieckiem, ani dominującą władczynią, nie była... Och, była sobą, niepowtarzalną Purdy.

- Kilka tygodni temu dostałam list od Cleo - mówiła dalej Purdy. - Napisała mi o przygotowaniach do ślubu. Oczywiście wszystko szło świetnie i bez żadnych problemów, tak jak cała reszta jej życia. Nie zrozum mnie źle. Bardzo kocham moje obie siostry, ale często mi się zdaje, że los wziął się tylko na mnie. Krótko mówiąc, napisałam jej, że w Australii spotkałam miłość mego życia.

Purdy wreszcie zaryzykowała i spojrzała na Nata. Przyglądał jej się uważnie, lecz bez kpiny, i co ważniejsze, bez współczucia. To dodało jej otuchy.

- Oczywiście miałam wtedy na myśli Rossa. Kłopot w tym, że jemu ani w głowie jakiegokolwiek deklaracje. No i sam

widzisz, jak się wkopałam. Bo czy ja mogłam w kolejnym liście napisać Cleo, że miłość mojego życia trwała zaledwie dwa tygodnie?

Purdy westchnęła ciężko, a Nat znów ujrzał ją i Rossa na tamtym weselu. Przytuleni, wpatrzeni w siebie...

- No i teraz twoja rodzina oczekuje, że pojawisz się z Rossem?

- Niestety...

- Poproś go, by pojechał z tobą...

- Coś ty! To by go zupełnie do mnie zniechęciło.

- Więc prosisz mnie.

- Pomyślałam, że skoro będziemy w Londynie w tym samym czasie, może zgodziłbyś się...

- Zastąpić Rossa?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Zgodziłbyś się? - powtórzyła Purdy, mając nadzieję, że jej głos nie brzmi zbyt desperacko. - Tylko na czas ślubu.

Cisza, jaka zapadła, stawała się nie do zniesienia.

Purdy opuściła głowę jak tylko dało się najniżej. Tyle razy robiła z siebie idiotkę, ale teraz przeszła samą siebie. Po prostu rekord świata.

- Nat, zapomnijmy o całej sprawie - powiedziała cicho. - Sam widzisz, co wymyślę, to damę plamę. Czy mógłbyś pokazać mi rzekę? - dodała ze sztucznym zainteresowaniem.

- Zaczekaj. - Poczowała na swym nadgarstku uścisk jego palców. - Nie powiedziałem przecież, że się nie zgadzam.

- Ale zaraz tak zrobisz i będziesz miał rację. - Purdy wyswobodziła dłoń. - Nie ma powodu, żebyś zajmował się moimi problemami. Masz swoje, tylko że to są prawdziwe problemy...

Była w takim nastroju, że gdyby mogła, skazałaby siebie na chłostę. Uznała, że to właściwa kara za bezbrzeżną głupotę.

- Daj spokój, Purdy, wcale nie lekceważę twoich kłopotów - powiedział rzeczowo. - Nie zrobiłaś nic złego, tylko sytuacja się zagmatwała. Najważniejsze, że wzajemnie możemy sobie pomóc. Ashcroftowie będą spokojni o los swoich wnuków, a moja obecność na ślubie Cleo okiełzna złośliwe języki twojej rodziny i znajomych.

- Fantastycznie! - Wpadła w euforyczny nastrój i już nie myślała o kłopotach.

- Musimy się tylko zastanowić, co z bliźniakami. Nie wiem, jak twoja rodzina zareaguje, gdy się okaże, że twój narzeczony ma pod opieką dwoje dzieci.

- Żaden problem. Zaraz po przyjeździe wszystko im opowiem i natychmiast będą chcieli poznać Daisy i Williama. Zresztą mogą nam się przydać, gdy znudzimy się na jakimś przedweselnym spotkaniu. Dzieci to świetna wymówka.



- Czyli pozostało tylko zabukować bilety i w drogę.  
- Jestem ci niesamowicie wdzięczna. - Purdy odetchnęła z ulgą. Jak to możliwe, by wszystko poszło tak gładko? - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Oczy jej się śmiały, była rozpromieniona i uśmiechnięta, po prostu rozkoszna. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Co najmniej tyle samo, ile dla mnie.

I dużo, dużo więcej. Przez cały miesiąc będzie miał tę wspaniałą dziewczynę o magicznych oczach tylko dla siebie...

Zaraz, zaraz, spokojnie, Nat. Purdy jest zakochana w innym, macie tylko wspólny interes do załatwienia, upomniał się. Tylko się nie zakochuj, idioto, bo ona nie jest dla ciebie.

Purdy dostrzegła, że Nat nagle stracił humor. No tak, oczywiście...

- Czy jesteś pewien, że nasze „narzeczeństwo” nie popsuje ci szyków? - zapytała ostrożnie.

- Co masz na myśli?

- Cóż, Grangerowie twierdzą, że twoje rozstanie z Kathryn... - zawahała się - nie jest ostateczne. Że jesteście dla siebie stworzeni. Byłoby fatalnie, gdyby Kathryn źle zrozumiała tę sytuację.

Spojrzał na nią. Purdy wypowiedziała tę kwestię z wielkim przejęciem, jakby była szesnastoletnią panienką, która naiwnie wierzy w nieśmiertelną siłę miłości... Uśmiechnął się z rozczeniem. Szczęśliwi są ci, którzy nie tracą złudzeń, pomyślał. Cóż, Kathryn robi karierę w Perth i pewnie już zapomniała o byłym narzeczonym. Przebolewał to, otrząsnął się i w sercu już nic nie kłuło. Przykre tylko, że ich związek, z którym wiązał takie nadzieje, nie przetrwał pierwszej poważnej próby.

Nie zdradził się jednak z tym przed Purdy. Lepiej będzie, jeśli pozostanie w przekonaniu, że Nat nadal jest uczuciowo

zaangażowany w Kathryn. W końcu spędzą ze sobą co najmniej miesiąc, a przecież jej serce należy do Rossa Grangera i gdyby zaczęła podejrzewać Nata, że o nią zabiega, poczułaby się fatalnie.

- Nie musisz przejmować się Kathryn - powiedział. - Ona dobrze wie, co do niej czuję.

- A więc Grangerowie się nie mylili. Wcześniej czy później znów się połączycie, bo urodziliście się dla siebie. - Miała nadzieję, że Nat nie usłyszał rozczarowania w jej głosie.

No cóż, o niej i Rossie nikt nigdy by tak nie powiedział. Jakie to cudowne, kochać i być kochanym na dobre i na złe... Westchnęła.

„Jesteście dla siebie stworzeni”. Dobrze sobie. Kathryn, jego piękna, roześmiana Kathryn, która opuściła go, w chwili kiedy najbardziej jej potrzebował.

Nadal nie rozumiał, dlaczego tak łatwo przyjął jej decyzję. Jakby instynktownie tego oczekiwał. W pewnym sensie odczuł nawet ulgę. Kathryn należała do kobiet wymagających od otoczenia nieustannej adoracji. Przywykła, że wszystko kręci się wokół niej, więc kiedy pojawiły się bliźniaki, natychmiast przyjęła ofertę z Perth.

- Ross mówił mi, że jest bardzo piękna.

- Kathryn? Tak, rzeczywiście - potwierdził bez emocji. - Jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Purdy spojrzała na niego z ciekawością. Czyżby mówił o byłej narzeczonej bez cienia bólu i żalu? Najwyraźniej, jak twierdzili Grangerowie, spodziewał się, że wcześniej czy później Kathryn uzna swój błąd i powróci do niego.

- Naprawdę nie chcę, żebyś z mojego powodu miał jakieś nieprzyjemności.

- Zapewniam cię, że ze strony Kathryn nic nam nie grozi - powtórzył z uśmiechem. - Ale masz rację.

Zaoszczędzimy sobie niepotrzebnych komplikacji, jeśli wśród sąsiadów utrzymamy nasze „narzeczeństwo” w tajemnicy. Będzie aktualne tylko w Anglii. Co ty na to?

- Umowa stoi. - Purdy wyciągnęła dłoń, a w jej oczach znów zaślniły srebrzystoszare ogniki.

- Stoi.

Gdy potrząsnęli dłońmi, pieczętując umowę, Purdy spontanicznie pocałowała Nata w policzek.

- Tak się cieszę - powiedziała.

Jej niewinny całus wprowadził go w stan euforii, a zaraz potem wzbudził całkiem inne emocje. Ta dziewczyna naprawdę jest niesamowita, pomyślał i westchnął ciężko. No cóż, nie jemu była pisana.

- Ja również - odpowiedział lekko ochryłym głosem. - Nadal chcesz zobaczyć rzekę? Jeśli tak, to wybiorę ci jakiegoś spokojnego konia.

Purdy nabrała wody w dłoń i oblała nią twarz. Całą dobę spędziła w samolocie i prawdopodobne lustro w damskiej toalecie na lotnisku Heathrow niczego jej nie oszczędziło. Była blada i wycieńczona, miała sine worki pod oczami. Potrzebowała porządnej kąpieli i długiego snu, by znów dobrze poczuć się we własnej skórze,

Miała jeszcze chwilę, bo Nat zobowiązał się sam odebrać bagaże i dopilnować formalności. Była mu za to wdzięczna.

To niezwykle, jak bardzo był spokojny i opanowany. Nie sposób było po nim poznać, z jak trudnym zadaniem niedługo będzie musiał się borykać oraz że jego życie ulegnie kompletnej zmianie.

Całą drogę siedzieli obok siebie, co było miłe i podniecające, lecz zarazem napawało ją dziwnym, niepojętym lękiem. Nie dało się ukryć, że reagowała na Nata dużo mocniej, niżby sobie tego życzyła. Przecież była zakochana w Rossie...

Odpędziła te myśli. Dolecieli na miejsce i kurtyna zaraz pójdzie w górę. Purdy szykowała się do roli swojego życia.

Spojrzała na lewą dłoń. Na serdecznym palcu połyskiwał pierścionek. Podarował jej go Nat jako symbol ich „zaręczyn”. Ot, teatralny rekwizyt... Wtedy uznała to za dobry pomysł, bo narzeczona bez pierścionka wyglądałaby dziwnie.

Lecz szybko zaczęła czuć się z tym niewygodnie, w ogóle cały ten pomysł z odegraniem komedii napawał ją coraz większym niepokojem. Jedyne, co mogła zrobić, to potraktować to jako nietypowe zlecenie. Taka praca, co robić...

Wyszła na zewnątrz.

W hali lotniska było jak w ulu. Przeciskając się przez tłum, podążała w kierunku miejsca, w którym umówiła się z Natem. Nie widziała go, jednak nie zaniepokoiło jej to. Na pewno był tam, gdzie powinien, spokojny, wręcz obojętny wśród dzikiej, rozwrzeszczanej plątaniny ciał. Opoka w oku cyklonu.

Wreszcie usłyszała jego głos:

- Wszystko w porządku, Purdy?

Opierał się o barierkę schodów, czekając na resztę bagaży.

- Oczywiście. Tylko ta nieprzespana noc daje się trochę we znaki.

Nat stłumił uśmiezek. Purdy wierciła się w samolocie, ziewała, aż wreszcie opadła Natowi na pierś i zapadła w błogi sen. Dotąd czuł jej dotyk i słodki zapach.

- Wyśpisz się w domu.

- Cleo niepotrzebnie się uparła, że wyjdzie po nas na lotnisko - westchnęła Purdy.

- Chce zobaczyć siostrę, to zupełnie zrozumiałe.

- Chce zobaczyć ciebie - sprostowała. - Nawet nie wiesz, co cię czeka. Najpierw dokładne oględziny, a potem skrupulatne przesłuchanie.

- Dam sobie radę.

- Nie wątpię, ale co przeżyjesz, to twoje.

Nat nieco się zaniepokoił, bo Purdy wcale nie żartowała, tylko mówiła ze śmiertelną powagą.

No cóż, dobrze znała swoją kochaną rodzinę. Matka i siostry nie spoczną, póki nie dowiedzą się o Nacie wszystkiego: co robi, co nosi, co jada, o której godzinie kładzie się spać... Co sprawiło, że zakochał się w Purdy, kiedy się jej oświadczył, co do tej pory przeżyli, jak planują wspólne życie... A czy wie, że Purdy jest trochę dziwna i nieodmiennie towarzyszy jej pech? Musi więc uważać... Bez dwóch zdań, nie pozostawią na nich suchej nitki. Wiedziała, że ślub Cleo i Aleksa nie zdoła przyćmić jej sensacyjnego narzeczeństwa.

Na koniec posadzą go na kanapce w salonie, włożą do ręki stary, rodzinny album i każą słuchać głupich dykteryjek z dzieciństwa Purdy.

Jak Nat to wytrzyma? Chyba wymaga od niego zbyt wiele.

- Nie boisz się, że nie damy" rady? - zapytała cicho.

- A niby dlaczego miałbym się bać? - Spojrzał na nią uważnie. - Ashcroftowie i twoja rodzina na pewno uwierzą w nasze narzeczeństwo. Co w tym dziwnego, że zamierzamy się pobrać?

- Co do Ashcroftów pewnie masz rację, ale moje siostry...

- Naprawdę ogarniała ją panika. - Nie znasz ich. Pierścionek ich nie przekona, uwierz mi. Są czujne i spostrzegawcze, i jeśli cokolwiek wzbudzi ich podejrzenia, a na pewno tak się stanie, nie spoczną, dopóki nie dotrą do prawdy.

- Jeśli dobrze zagramy zakochaną parę, co może je zaniepokoić? Purdy, przyjeżdżasz do rodziny, przedstawiasz narzeczonego... Toż to najnormalniejsza rzecz w świecie.

- Niby tak, ale... jako kochająca się para... będziemy narażeni... na bardzo niezręczne sytuacje - wy dukwała z trudem.

- Nie rozumiem. - Był naprawdę zdumiony.

- Wiesz przecież... - zaczęła niepewnie, okręcając nerwowo pierścionek wokół palca. - Taka para... one nie uwierzą... jeśli... jeśli nie będziemy...

- Jeśli nie będziemy się przytulać i całować?

- Tak - potwierdziła z ulgą. - Wiesz, wszystkie te rzeczy, które...

Spojrzał na nią. Miała dwadzieścia pięć lat, przemierzyła pół świata w pogoni za szczęściem, a była kompletnie onieśmielona i zawstydzona faktem, że kilka razy będzie musiała pocałować się z facetem. Taka to już z niej dziwaczka, pomyślał z rozczuleniem

- Masz rację, to istotny problem - powiedział z poważną miną. - Zaniedbaliśmy ten szczegół, więc musimy to nadrobić.

Purdy spłoszyła i cofnęła się pół kroku.

- Nat, nie...

- Kochanie, czas na generalną próbę. - Delikatnie pogładził ją po policzku. - Uwodzę cię, pragnę... - powiedział cicho. - Serce w tobie trzepoce, jesteś niecierpliwa, czekasz na moje usta...

Och, co to był za pocałunek! Purdy zapomniała o bożym świecie, uleciała gdzieś w dal... to znaczy w silne ramiona Nata. Zapomniała o oddechu, nie mogła się poruszać. Jej ręce w jego włosach, jej usta... Cudownie, cudownie!

To już koniec?

- Łatwizna, nie sądzisz? - zapytał z uśmiechem. Spojrzała na niego nieprzytomnie... i znów wpiła się

w jego wargi. Zdumiony Nat nie był w stanie zapanować nad tą dziką namiętnością, choć powinien. Próbował narzucić sobie samokontrolę, bo głos rozsądku wrzeszczał mu do ucha, że sytuacja nie może wymknąć się spod kontroli. Nat musiał się z tym zgodzić, uznał jednak, że trzeci pocałunek nie zaszkodzi.

Oszołomiona Purdy z trudem dochodziła do siebie. Co to było? Jak miała to nazwać? Wróciłam do domu, pomyślała bez sensu... i nagle pojęła, że taka jest prawda. Całe życie czekała na tę chwilę. Najpierw uciekała w marzenia, potem wyruszyła w świat... by wreszcie na tym lotnisku znaleźć to, czego szukała.

- Prawda, że łatwizna? - powtórzył.

- Tak... - zdołała wyszeptać.

Nat uśmiechnął się i spojrzał na jej ramiona, które czułym gestem oplatały jego głowę. Nie powiedział ani słowa. Nie musiał. Purdy poczuła się, jakby ktoś wylał na nią kubek zimnej wody.

- Co może być w tym trudnego? - powiedziała twardym głosem i odstepiła o krok. Jej ramiona opadły smętnie w geście rezygnacji.

- To jak, idziemy? Gotowa?

Czy była gotowa? Och, była... ale za nic się do tego nie przyzna. To były zwykłe teatralne pocałunki... i tak ma zostać, choćby jej serce gorąco protestowało.

Serce, serce, przedrzeźniała siebie w duchu. Owszem, pocałunki były miłe, ale kto tu mówi o sercu?

- Ty idiotko - szepnęła do siebie.

- Co mówisz? - spytał Nat.

- Oczywiście. Idziemy.

Ledwie ruszyli, z głębi hali dobiegł Purdy znajomy głos siostry.

- Nareszcie was mam! - krzyknęła triumfalnie Cleo. - Purdy, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wreszcie cię widzę! Ale się opaliłaś. Mieliście miłą podróż? Jesteście głodni?

Purdy zbyt dobrze знаła siostrę, by choćby próbować odpowiadać na lawinę pytań, jaka posypała się z jej ust.

- Witaj, Cleo. Cześć, Alex - powiedziała tylko, całując ich na przywitanie.

Cleo wyglądała tak, jak powinna wyglądać zakochana narzeczona. Piękna, wypoczęta, uśmiechnięta i nad wyraz szczęśliwa.

Alex też promieniał zadowoleniem. Wysoki jak Nat, lecz szczuplejszy i młodszy, prezentował się naprawdę świetnie. Przystojny, pewny siebie, elegancki. Roztaczał wokół siebie aurę zwycięzcy.

Wzorcowa para z okładki londyńskiego magazynu.

Purdy z niepokojem spojrzała na Nata, jednak ten nie wydawał się zbity z tropu.

- Przedstawiam wam Nata Mastermana - powiedziała.

- Cudownie cię poznać! - zawołała Cleo. - Purdy tak bardzo wychwalała cię w listach, że zaczęliśmy się zastanawiać, czy ktoś taki w ogóle istnieje.

Na szczęście nie czekała na odpowiedź. Mężczyźni wymienili zdawkowe uściski.

- Jesteśmy tacy podekscytowani waszymi zaręczynami - paplała Cleo. - Mama i Marisa nie mogły mi wybaczyć, że jadę przywitać was na lotnisko. A ja nie mogłam się doczekać. Tak bardzo chciałam zobaczyć, kogo przywiozła ze sobą Purdy. Jak dotąd, nikt jeszcze nie przypadł jej do gustu.

Przy ostatnich słowach spojrzała na siostrę, której mina mówiła sama za siebie. Najwyraźniej Purdy miała dosyć Londynu, zanim jeszcze na dobre się w nim pojawiła.

Nat zerknął na swoją „narzeczoną”. Wciąż kontemplował niedawne pocałunki.

- Mam nadzieję, że będę pierwszym i ostatnim - powiedział stanowczo.

Purdy westchnęła w duchu. Gdyby to była prawda... No cóż, Nat okazał się świetnym aktorem.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ruszyli w kierunku wyjścia.

Alex nawiązał pogawędkę z Natem, czy raczej snuł monolog o swoim nowym samochodzie. Nat od czasu do czasu wypowiadał jakieś monosylaby.

- Nie jest zbyt rozmowny - wyszeptała Cleo do Purdy.

- Jest zmęczony. Poza tym odzywa się tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia.

W przeciwieństwie do Aleksa, dodała w duchu.

- Silny, małomówny facet?

- Coś w tym rodzaju.

- Zawsze zastanawiało mnie, co niektóre kobiety widzą w takich mrukach? Na dłuższą metę to chyba nudne. - Cleo uśmiechnęła się dwuznacznie.

Purdy pomyślała o wizycie u Nata. Zabrał ją nad rzekę, cierpliwie odpowiadał na wszystkie, nawet najgłupsze pytania. Był naprawdę uroczym gospodarzem. A teraz, na lotnisku, tak cudownie ją pocałował pośród hałaśliwego tłumu.

Nie, z Natem nie sposób się nudzić.

- Nie, nie jest nudne - zaprzeczyła twardo.

- W takim razie musisz być naprawdę zakochana - roześmiała się Cleo.

Purdy odetchnęła z ulgą. Nat miał rację, ich narzeczeństwo zostało przyjęte jako coś oczywistego.

- Tak, jestem - potwierdziła sucho. - Ale dość o mnie. Jak tam przygotowania do ślubu? Wszystko już zapięte na ostatni guzik?

Odpowiedź na to pytanie zajęła Cleo niemal całą drogę.

Suknia, muzyka, kwiaty... Purdy słyszała słowa, ale nie zwracała uwagi na treść, tylko od czasu do czasu rzucała: „naprawdę?”, „żartujesz!”, „coś takiego!”, co Cleo w zupełności wystarczało.

Dochodziła ósma rano i ruch na ulicach Londynu zaczynał nabierać tempa. Purdy, świeżo upieczona Australijka, patrzyła na zatłoczone ulice z odrazą. W ogóle czuła się tu kompletnie obco, choć wychowała się w tym mieście.

Nagle rozejrzała się niespokojnie.

- Cleo, przecież to nie jest droga do hotelu!

- Nie jedziemy do hotelu. Odwołałam waszą rezerwację, Purdy.

- Co takiego?!

Mogła sobie protestować.

- Chyba nie sądziliście, że pozwolimy wam nocować w hotelu. Omówiłam to z mamą już wieki temu. Zostajecie u nas.

- Cleo, ale...

- Wszystko już załatwione. O nic nie musicie się martwić. Marisa, Phil i dzieciaki zamieszkają u rodziców, a wy u nas. Zajmiecie pokój gościnny.

- Ale...

- Nie ma o czym mówić. Przecież ja i Alex wyjeżdżamy zaraz po ślubie na całe trzy tygodnie i przez ten czas będziecie mieć dom dla siebie. Zostawimy wam też auto. - Cleo spojrzała triumfalnie na siostrę. - I co, zły pomysł?

W ciągu niecałego kwadransa dotarli pod dom Cleo.

- Przykro mi - powiedziała Purdy, kiedy zostali sami w pokoju gościnnym. Wpatrywała się w wielkie małżeńskie łóżko. - Nie miałam pojęcia, że Cleo może dopuścić się czegoś takiego. Najchętniej bym ją zamordowała.

- To nie twoja wina - uspokoił ją Nat. - Poza tym Cleo miała jak najlepsze intencje. Nie możesz przecież winić jej za to, że tak bardzo się za tobą stęskniła.

- Masz rację - potwierdziła w zamyśleniu. - Ale zawsze mnie denerwował sposób, w jaki moja siostra załatwia takie sprawy. Zupełnie nie liczy się ze zdaniem innych.

- Podobnie postępowała Kathryn. Można wściekać się na takie kobiety, jednak jedno trzeba im przyznać. Mają w sobie tyle wdzięku, że sam nie wiesz, kiedy wpadasz w ich sidła.

Nat przysiadł na łóżku, a po chwili z lubością się położył, wygodnie układając ramiona pod głową. Purdy zrobiła to samo.

- Przyjemne mieszkanie - powiedział. - Za jakiś czas będziemy mogli przyprowadzić tu Williama i Daisy.

- Tak, ale... czy nie będzie nam trochę niewygodnie? - Purdy zawahała się. - W jednym łóżku?

Leżała odprężona i spokojna, z burzą ciemnych włosów, które przesłaniały jej twarz. Tak pragnął ją przytulić i uspokoić...

No cóż, pewnie marzyła teraz o Rossie.

- To tylko tydzień - powiedział obojętnie. - Po wyjeździe Cleo i Aleksa będziemy mieli osobne sypialnie.

Czekał go tydzień tortur. Będą sypiać tuż obok siebie, ale nie razem. Jak on to wytrzyma?

- Mógłbym spać na podłodze, ale łóżko jest ogromne, a pokój mały i nie bardzo będę miał gdzie się ułożyć. Poza tym, gdyby Cleo nagle tu weszła, wszystko by się wydało.

- Masz rację, to nie wchodzi w grę. Tylko trochę mi głupio, bo ty i Kathryn...

Jak ona zdoła zasnąć u jego boku? Przecież tak na nią działał...

- Nie martw się tym. Łóżko jest naprawdę duże i jakoś sobie poradzimy. Powinniśmy się cieszyć, że wszystko idzie jak najlepiej. Mamy wygodne mieszkanie w samym centrum Londynu, do którego będziemy mogli przenieść Williama i Daisy. Cleo i Alex nie mają żadnych podejrzeń co do naszego narzeczeństwa, a to dowodzi, że inni też niczego się nie domyślą. Przebrniemy przez ślub, załatwimy formalności związane z dziećmi, i ani się obejrzysz, jak wrócisz do Rossa.

- To prawda. - Nagle uświadomiła sobie, że od wyjazdu z Cowen Creek ani razu nie pomyślała o Rossie. - Mówił, że będzie mu mnie brakować. Wziął nawet mój numer telefonu w Londynie...

- Widzisz? Jestem pewien, że Ross będzie tęsknił za tobą bardziej, niż ci się wydaje. Przyjazd do Londynu był najlepszą rzeczą, jaką mogłaś zrobić.

Śniadanie, jakie przygotowała Cleo, było niezwykle uroczyste. Purdy zaczęła nawet mieć wyrzuty sumienia, że tak niesprawiedliwie osądzała siostrę, jednak trwało to tylko chwilę.

- Naprawdę aż tyle czasu musicie poświęcić bliźniakom?  
- narzekła Cleo. - Wieczory moglibyście sobie odpuścić. Nie macie pojęcia, ile imprez szykuje się w Londynie przed naszym ślubem!

Nat przejął inicjatywę. Najwyraźniej lata praktyki przy boku Kathryn nauczyły go, jak należy odmawiać tego typu prośbom.

- Ale przynajmniej na jedno popołudnie porywam Purdy i od tego nie odstępę - powiedziała stanowczo Cleo. - Na środę zaplanowałam zakupy i od tego się nie wymigasz, siostrzyczko. Jestem pewna, że oprócz dzinsów i rozciągniętych podkoszulków niewiele ubrań masz w walizce.

- No cóż, to prawda - potwierdziła Purdy.

Nat spojrział na nią ciekawie. Jak zwykle i tym razem miała na sobie spodnie i bawełniany podkoszulek, jednak mimo zmęczenia wyglądała pięknie.

- Mnie się podoba - powiedział entuzjastycznie.

- Domyślam się - prychnęła Cleo. - Jednak teraz Purdy jest w Londynie i nie może w takim stroju pokazać się choćby na proszonej herbatce, nie mówiąc już o bardziej uroczystych przyjęciach.

- W porządku - machnęła ręką Purdy. - Wybiorę się z tobą po te zakupy w środę, skoro tak bardzo ci na tym zależy. Ale resztę czasu naprawdę musimy poświęcić Williamowi i Daisy.

- Mam pokorną prośbę, żebyście zarezerwowali sobie sobotę - wtrąciła kąśliwie Cleo. - Wiem, że to jedynie mój ślub, Purdy, i że jestem tylko twoją siostrą, jednak po cichu liczyłam, że znajdziesz dla mnie trochę czasu.

- Ależ Cleo...

- Wszyscy są was bardzo ciekawi, a wy zamierzacie kryć się po kątach. I co ja powiem ludziom?

By załagodzić sytuację, Purdy obiecała, że z Natem wezmą udział w przyjęciu u Sabriny, znajomej Cleo. Po skończonym śniadaniu Alex szybko się pożegnał.

- Ktoś musi pracować - powiedział i wyszedł. Niestety, ku rozczarowaniu Purdy, Cleo z uwagi na

przygotowania do ślubu wzięła sobie urlop na tydzień przed ślubem.

- Mama i tata przyjdą na kolację - oznajmiła. - Przed południem mam parę spraw do załatwienia na mieście i małe zakupy. Może wybrałabyś się ze mną?

- Purdy jest zmęczona - przerwał jej Nat. - Nie spała całą drogę.

- Lepiej przemęczyć się przez dzień i zasnąć dopiero wieczorem. Wtedy szybciej znikną problemy związane ze zmianą czasu.

- Wolę, żeby Purdy została ze mną - powiedział stanowczo Nat i Cleo zaniechała dalszych dyskusji.

- Jak uważasz. Tylko nie miejcie do nikogo pretensji, jeśli nie będziecie mogli spać w nocy.

Purdy zasnęła natychmiast, ledwie przyłożyła głowę do poduszki, i spała bite cztery godziny, natomiast Nat siedział w rogu łóżka i przyglądał się jej z czułym zaciekawieniem.

Nie dało się ukryć, że niezwykle polubił jej wiecznie potargane włosy, nieregularne rysy, długie, cieniste rzęsy i niezwykłą szarość oczu. Prawdę mówiąc, lubił w niej wszystko.

Poza jednym. Że była po uszy zakochana w Rossie Grangerze.

- Purdy! - Delikatnie dotknął jej ramienia. - Purdy, czas się obudzić.

Coś mruknęła, potem z trudem uniosła powieki, i na widok Nata uśmiechnęła się. Jeszcze nie kojarzyła, gdzie jest i co robi z Natem w jednym pokoju, ale to, że są razem, wyraźnie jej się spodobało.

- Już prawie druga - powiedział miękko. - Jeśli będziesz spała dłużej, dasz Cleo powód do triumfu, bo nie zmrużysz oka w nocy.

Ciężko podniosła się z łóżka.

- Czy wyglądam równie źle, jak się czuję? - zapytała, przeczesując dłonią włosy.

Jak mogła wyglądać źle, skoro wyglądała tak cudnie? Rześka czy zaspana, wypoczęta czy zmęczona, zawsze równie piękna... Do diabła, a teraz tak rozkosznie się przeciągnęła!

Nat jeszcze o tym nie wiedział, ale miał wszelkie symptomy choroby zwanej miłością.

- Pysznic postawi cię na nogi - odezwał się, z trudem opanowując dziwną tęsknotę, a prościej mówiąc, pożądanie.

Po dwudziestu minutach, wykąpana i ubrana w świeże ciuchy, Purdy poczuła się jak nowo narodzona.

Rozczesując wilgotne włosy, weszła do kuchni, gdzie Nat szykował coś do jedzenia.

- Spałeś choć trochę? - zapytała.

- Uciałem sobie krótką drzemkę w pokoju na sofie

- odpowiedział. - Później wziąłem prysznic i zadzwoniłem do Ashcroftów. Umówiłem się z nimi na

dzisiejsze popołudnie. Dobrze by było, gdybyśmy poszli tam we dwoje, jeśli jednak nie masz ochoty, zrozumieć.

- W końcu po to tu jestem - powiedziała energicznie.

- Zapłaciłeś za mój bilet, teraz kolej na mnie, bym wywiązała się z umowy.

Nat spojrział na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

Podróż do domu Ashcroftów okazała się prawdziwym koszmarem. Purdy zdążyła już zapomnieć, jak męczący i hałaśliwy jest Londyn. Mogła sobie jedynie wyobrazić, co czuje Nat, spoglądając na jej rodzinne miasto. Rodzinne, a jednak kompletnie obce, wręcz wrogie.

Ogromne australijskie przestrzenie, poczucie wolności, cudowne niebo, palące słońce, cisza, to był jej świat, choć inni sądzili inaczej. Dla Nata, Rossa i pozostałych Australijczyków, których poznała, na zawsze pozostanie Angielką, mieszkanką brudnego, hałaśliwego Londynu.

Purdy zerknęła na Nata. Nawet w zwykłych dzinsowych spodniach i bawełnianej koszulce wyglądał jak człowiek z innego świata, jak ktoś, kto przynależy do rozległych przestrzeni, otwartego nieba i tysiąca barw.

Kiedy oprowadzał ją po Mack River, pewnie widział w niej wielkowiejską dziewczynę, która wprawdzie pragnie wtopić się w australijską rzeczywistość, ale nigdy jej się to nie uda i zawsze będzie tu obca. Pewnie wydała mu się śmieszna, kiedy opowiadała o swej fascynacji tą ziemią...

- Cieszę się, że jesteś ze mną - powiedział, przerywając jej niezbyt miłe rozmyślenia. - Nie wiem, czy sam dałbym sobie radę.

- Och, na pewno - odparła. Był uprzejmy, podkreślał, że jest mu potrzebna... no cóż, odebrał dobre wychowanie i tyle. Nie łudziła się, by mogło chodzić o coś więcej.

Dom Ashcroftów znajdował się blisko stacji metra, na której wysiedli. W okolicy przeważały niskie, jednorodzinne

domy, zupełnie różne od luksusowych apartamentowców, w jakich mieszkała rodzina Purdy. Było tu ciszej, przytulniej i dużo sympatyczniej, prawie swojsko.

Purdy spojrzała na Nata. Szedł pochylony i niepewny, jak skazaniec prowadzony na ścięcie.

- Wspominasz chwile, kiedy byłeś tu poprzednio? - zapytała cicho.

- Tak... Skąd wiesz? - Wyraźnie był zaskoczony.

- Bo sama bym tak to przeżywała. Wiem, że jest ci trudno, Nat.

- Poradzę sobie - mruknął zdawkowo, choć jej serdeczny ton bardzo go poruszył.

- Oczywiście, że sobie poradzisz.

Był silnym mężczyzną, lecz życie postawiło go przed wielkim wyzwaniem. Nie mając żadnego doświadczenia, niedługo miał stać się ojcem dla dwojga maleńkich dzieci i będzie się z tym borykać w samotności. Żadna, choćby najwspanialsza niania nie wyręczy go w najtrudniejszych i najważniejszych sprawach związanych z wychowaniem Daisy i Williama. Cała odpowiedzialność za ich losy spadnie na niego.

A teraz zbliżał się do drzwi Ashcroftów, za którymi czekały na niego dwie bezbronne istoty. Purdy poczuła w sercu bolesne ukłucie.

- Ten tydzień będzie dla ciebie koszmarem - powiedziała w zamyśleniu. - Wszystkie te uroczyste przyjęcia Cleo, toasty, roześmiani goście, podczas gdy ty będziesz myślał o bracie, Laurze i ich... teraz twoich... dzieciach.

Nat zmieszał się. Serdeczne słowa były mu potrzebne, lecz zarazem go żenowały. Dotychczas sam sobie ze wszystkim radził i nie był przyzwyczajony, by ktokolwiek wnikał w jego uczucia i problemy. I to spojrzenie Purdy, ciepłe, lecz zarazem



niezwykle przenikliwe... jakby dotarła do najgłębszych zakamarków jego myśli i serca.

- To prawda - przytaknął. - Myślę o Edzie i Laurze, o wszystkim, co razem przeszliśmy. Bardzo mi ich brakuje, ale życie idzie do przodu. Czas robi swoje i dzisiaj nie jest już tak źle.

No cóż, nie było już tak źle, bo miał przy sobie Purdy, jednak nie zamierzał tego mówić. Nie mógł. Inaczej gotowa pomyśleć, że próbuje ją ze sobą związać, uzależnić od siebie. Była serdeczna i dobra, a jednak podkreśliła kilka razy, że na pewno poradziłby sobie sam... To brzmiało jak ostrzeżenie.

- Jeśli chcesz, wytłumaczę cię przed Cleo - powiedziała. - Wystarczy, jeśli pojawisz się na jednej imprezie i na dwóch rodzinnych obiadach. Co ty na to?

- Nie ma takiej potrzeby. Ed i Laura uwielbiali przyjęcia. Jeśli patrzą na mnie z góry, to jestem pewien, że nie oczekują ode mnie umartwiania i smutnych refleksji, tylko wręcz przeciwnie. Poza tym im mniej czasu na myślenie, tym lepiej.

Purdy spojrzała na niego z podziwem. Taka postawa bardzo jej imponowała. Nat w trudnych chwilach brał się z życiem za bary, nie poddawał się.

Wreszcie dotarli pod dom Ashcroftów. Nat zebrał się w sobie, sprężył. Za chwilę cała jego egzystencja ulegnie kompletnej zmianie.

Purdy nagle uświadomiła sobie z całą ostrością, w jak bardzo różnej są sytuacji. Otóż Nat nie miał wyboru. Musiał podążać jedną drogą, jaką wskazał mu los. Natomiast ona miała wybór. Mogła odstąpić od umowy, powiedzieć, że się rozmyśliła. Nat musiałby zaakceptować jej decyzję, do niczego nie mógł jej zmusić. Po jakimś czasie zwróciłaby mu pieniądze za bilet i w ten sposób urwałaby się ostatnia łącząca ich nić.

Tak, Purdy miała wybór. Mogła zostać w Londynie, mogła wrócić do Australii i poszukać sobie pracy na jakimś ranczu, mogła pojechać do Stanów, Azji, Europy... Tak wiele widziała przed sobą dróg, zaś Natowi została tylko jedna.

Nacisnął dzwonek.

- Wszystko będzie w porządku - wyszeptała, wkładając rękę w jego dłoń. Przynajmniej tyle mogła dla niego uczynić.

Jego palce zacisnęły się z wdzięcznością.

- Tak - odpowiedział, spoglądając z czułością w jej szare oczy. - Wierzę, że tak właśnie będzie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

William i Daisy nie spali. Purdy i Nat usłyszeli ich płacz, gdy tylko przekroczyli próg.

Harry Ashcroft wyglądał na wyczerpanego, lecz na widok gości wyraźnie się ucieszył.

- Witajcie, kochani. Przepraszam za te hałasy. Próbowaliśmy przed waszym przyjściem uśpić dzieci, ale jak widać miały inne plany. Trudno będzie nam spokojnie porozmawiać. - Gestem zaprosił ich do salonu. - Moja żona, Ruth, pomaga na górze Eve przewijać dzieci. Musimy na nią poczekać.

- Chętnie zastąpię pańską małżonkę - zaproponowała Purdy. Przypuszczała, że Ashcroftowie chcieliby przez chwilę porozmawiać z Natem bez świadków. - Przyniesiemy niemowlaki na dół, jak tylko będą gotowe.

Starszy pan spojrzał na nią z wdzięcznością, a po chwili jego żona z ulgą przywitała Purdy w pokoju dziecięcym.

William i Daisy okazali się ślicznymi, nieporadnymi maleństwami, które, nie potrafiąc powiedzieć jeszcze ani słowa, krzykiem i płaczem informowały otoczenie o wszystkim, co właśnie przeżywały. Purdy spojrzała na nie z czułością. Sprawnie przewinęła Daisy, w tym samym czasie Eve uporała się z Williamem.

- Są naprawdę cudowne! - zawołała Purdy, schodząc ze schodów z Daisy, która uczepiła się jej włosów. Tuż za nią podążała Eve, trzymając w objęciach Williama.

- Chyba to samo myślą o tobie - zażartował Nat. - Jak tylko pojawiłaś się przy nich, zapanowała błoga cisza.

Rozmowa z Ruth i Harrym była trudna. Starsi państwo nie otrząsnęli się jeszcze z niedawnej tragedii i z pesymizmem patrzyli w przyszłość.

Nat po raz kolejny z wdzięcznością spojrzał na Purdy. Gdyby nie ona byłoby mu bardzo trudno przebrnąć przez to

spotkanie. Z kobiecą intuicją wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć i kiedy milczeć, a także z wielkim taktem i tkliwością pozwoliła się wypłakać Ruth.

- Tak bardzo się cieszymy, że mogliśmy cię poznać - powiedziała wreszcie starsza pani. - To ogromna ulga wiedzieć, że będziesz przy Williamie i Daisy.

Nat odczuwał dokładnie to samo. No cóż, gdyby na miejscu Purdy była Kathryn, takie słowa na pewno nie padłyby z ust Ashcroftów. Była narzeczona potrafiła każdego oczarować urodą i wdziękiem, jednak nie miałyby pojęcia, co zrobić z płaczącym niemowlakiem i jak użyć jednorazowej pieluszki.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny - powiedział Nat, gdy tylko pożegnali się z Ashcroftami. - Nie wiem, jak by się to wszystko potoczyło, gdyby nie było cię ze mną.

Purdy uśmiechnęła się. Jej również było dobrze z Natem. Aż za dobrze jak na kogoś, kto serce zostawił gdzie indziej. Ale cóż, gdy Nat spojrzał na nią, kiedy wchodziła do salonu z Daisy na rękach, w jego wzroku odnalazła coś, za czym mogłaby pójść na koniec świata. Co, nawiasem mówiąc, było równie wspaniałe, jak niepokojące.

Mogła mieć tylko nadzieję, że uśmiech, który posłała mu w odpowiedzi, nie powiedział zbyt wiele.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował Nat, było zamartwianie się, że wkroczył pomiędzy nią a Rossa.

Że zamiast o Rossie, Purdy myśli tylko o nim.

Tak, był przyjazny, ciepły, głęboko kulturalny w ten najważniejszy, wewnętrzny sposób, ale nie o to chodziło. Takich ludzi lubi się i szanuje, natomiast ona...

Czyżby naprawdę zaczynała wariować na jego punkcie? Ujmował ją czymś, czego nie potrafiła określić, lecz przed czym coraz trudniej przychodziło jej się bronić.

Jego spojrzenie, jego tak rzadki, ale jakże wspaniały uśmiech... jego dotyk...

- Nie przesadzaj, Nat. Po prostu zrobiłam to, co do mnie należało.

Już się nie uśmiechał.

- Oczywiście - przytaknął zgaszonym głosem. - Wykonywałaś tylko swoją pracę.

- Jutro powinno nam pójść o wiele łatwiej. Zawsze najtrudniejsze są początki, a dzisiejsze spotkanie mamy już za sobą. Teraz powinniśmy skoncentrować się na Williamie i Daisy.

Mimo że nie mieli na to ochoty, musieli już wracać, bowiem Cleo zaplanowała na wieczór rodzinną kolację. Będą musieli odpowiedzieć na setki dociekliwych pytań dotyczących historii ich miłości, przyszłego ślubu, życiowych planów. Ta rozmowa mogła się okazać jeszcze trudniejsza od spotkania z Ashcroftami, obawiała się Purdy. Nie zamierzała jednak niepokoić tym Nata. I bez tego miał dość swoich kłopotów.

Jednak szczęśliwie kolacja okazała się bardzo udana. Wprawdzie matka i Cleo usiłowały zasypać Nata tysiącem szczegółowych pytań, jednak ojciec Purdy wyraźnie trzymał jego stronę. Obaj panowie chyba przypadli sobie do gustu.

Tłumacząc się zmęczeniem, Purdy i Nat dość wcześnie opuścili towarzystwo i stanęli wobec następnego problemu, czyli wspólnego łóżka.

Nat rozegrał to dyplomatycznie. Począł, aż Purdy pierwsza się położy, zamarudził w łazience z dobre pół godziny i kiedy wrócił do sypialni, jego „narzeczona” słodko spała.

Rano obudził ją Nat, który przyniósł dwa kubki herbaty. Purdy wydało się to takie naturalne, gdy oparli o poduszki popijali gorący płyn. A przecież jeszcze wczoraj była

skrępowana i zażenowana wzajemną bliskością. Zrzuciła to na karb zmęczenia. Tak samo usprawiedliwiła fakt, że kompletnie zapomniała o Rossie.

Skrupulatnie poświęciła mu co najmniej pięć minut swoich myśli. Wysportowany, piękny, niebieskooki Ross pędzący na koniu, prowadzący ją w tańcu, uśmiechający się czarująco...

Każdego dnia musi poświęcić mu co najmniej kwadrans. Ostatecznie jest w nim zakochana, prawda?

Teraz, gdy zmęczenie znikło bez śladu, wszystko wydawało się takie proste. Wypełnią z Natem swoje zadania, potem wrócą do Australii i życie potoczy się dalej. Nat stworzy dom dla dzieci, a ona rozpocznie szturm na Rossa.

Nat jest jej współnikiem. Łączy ich wzajemna sympatia, może nawet przyjaźń, ale nic więcej. Żadnych więcej gwałtownych trzepotań serca, niedomówień i niepewności. Co za ulga!

Wtorkowe przedpołudnie spędzili u Ashcroftów. Bliźniaki zachowywały się uroczo i niezmiernie absorbująco. Wieczór zajęła im całkiem miła, jak się okazało, kolacja w towarzystwie Cleo i Aleksa.

Kiedy Purdy otworzyła oczy w środowy poranek, z ulgą ostatecznie stwierdziła, że wszelkie obawy związane ze wspólnym łóżem okazały się mocno przesadzone. Kładła się i zasypiała sama, a budziła się, kiedy Nat był już na nogach. Wszystko przebiegało więc bez zbędnych komplikacji i krępujących chwil.

Zaraz po śniadaniu Nat wybrał się sam w odwiedziny do swoich bratanków, natomiast obie siostry udały się po zakupy.

Okazało się, że wobec siły perswazji Cleo, Purdy nadal była tak bezbronna jak dziecko. W rezultacie stała się właścicielką nie jednej, ale trzech wyjściowych kreacji wraz ze stosownymi dodatkami, w tym efektownej skórzanej

torebki oraz kilku par butów. Pięknych, to prawda, wiedziała jednak, że dłużej jak godzinę w nich nie wytrzyma.

Po zakupach udały się do kawiarni, gdzie ogarnął je szampański nastrój. Przekomarzały się, wspominały śmieszne zdarzenia, podkpiwały z bliźnich. Poczuły się wolne, swobodne i beztroskie.

W ogóle Purdy tego dnia bawiła się naprawdę dobrze, choć chwilami z troską myślała o Nacie i bliźniętach. Czy wszystko przebiega pomyślnie? Wiele by dała, żeby być teraz z nimi...

Z zadumy wyrwał ją głos siostry:

- Purdy, czy ty mnie słuchasz?

- Przepraszam - odpowiedziała szybko. Stały przed wystawą sklepu kosmetycznego i, o ile pamięć jej nie myliła, wybierały kolor szminki do sukni ślubnej Cleo. - Zastanawiałaś się, zdaje się, nad różowym?

- Nie, Purdy. Nigdy nawet nie wspominałam o różowym. - Cleo demonstracyjnie przewróciła oczami. - Dobrze wiem, że zawsze uciekasz do tego swojego, wyimaginowanego świata, ale to, co dzieje się z tobą teraz, jest po prostu nie do zniesienia! Najwyraźniej miłość poprzestawiała ci wszystkie klepki.

- Zastanawiałam się tylko, co Nat i bliźniaki mogą teraz porabiać - broniła się Purdy.

- Nat wygląda na odpowiedzialnego faceta i świetnie poradzi sobie bez ciebie. Twoje zamartwianie jest mu do niczego niepotrzebne.

- Masz rację - zgodziła się Purdy.

- A przy okazji, tak naprawdę jak długo się znacie?

- Cleo lubiła zadawać nieoczekiwane pytania. Działając z zaskoczenia, niejedną raz wbrew woli rozmówców wyłuskała ciekawe informacje.

No cóż, zaledwie tydzień... a jednak zdawało się jej, że znają się od zawsze. Wiedziała, jak się poruszał, co lubił, a czego nie. Wiedziała też, jak się całował...

Purdy zaczerwieniła się. To było w poniedziałek, kiedy wszystko wyglądało inaczej. Teraz ona i Nat są... przyjaciółmi. Właśnie tak.

- Znamy się wystarczająco długo - odpowiedziała.

- Nie miej mi za złe mego pytania - uspokoiła ją Cleo.

- Nat jest rzeczywiście bardzo miły. Nawet tata go polubił, a wiesz, jaki jest ostrożny, jeśli chodzi o nowe znajomości. Kłopot tylko w tym, że... że nie wyglądacie na bardzo związanych.

Oczy Purdy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Co właściwie masz na myśli?

- Zakochani na ogół są wobec siebie... no, bardziej wylewni. Nie zrozum mnie źle, ale nigdy jeszcze nie widziałam, byście tulili się do siebie czy chociaż raz pocałowali.

- Śpimy przecież ze sobą! - wykrzyknęła Purdy, uznając, że atak jest najlepszą obroną.

- Tak, seks, wiem. - Cleo machnęła ręką. - Jestem pewna, że wspaniale dogadujecie się pod tym względem, lecz skoro zamierzacie się pobrać, potrzeba wam czegoś więcej. Po prostu troszczę się o ciebie, siostrzyczko. Przykro mi to powiedzieć, ale zachowujecie się tak, jakbyście bali się sobie okazać choćby odrobinę czułości.

Purdy przygryzła wargi. No cóż, śledcza Cleo była niebezpiecznie blisko prawdy.

- Nat nie ujawnia publicznie swych emocji i uczuć - odpowiedziała. - I za to właśnie go kocham.

- Mam tylko nadzieję, że tak będzie zawsze - odpowiedziała w zamyśleniu Cleo. - Wiem, że to nie nasza sprawa, ale my z mamą martwimy się tym trochę. Jak zresztą i



tym, że zamierzasz na stałe przenieść się do Australii. Przecież to taki kawał drogi od domu.

Przez chwilę szły obie w milczeniu.

- Wiem, że jesteś już dorosła - rozpoczęła ponownie Cleo - ale czy naprawdę takiego życia pragniesz? Małżeństwo z prawie nieznanym mężczyzną, odpowiedzialność za dwoje obcych dzieci, przeprowadzka na koniec świata... Tak wyobrażałaś sobie swoje szczęście? Tego naprawdę chcesz?

Purdy spojrzała na siostrę.

Wszędzie wokół panował typowy londyński rozgardiasz. Tysiące ludzi, uliczny hałas, głośna muzyka, dźwięki klaksonów, migocące światła...

Chyba diabeł wymyślił wielkie miasta, pomyślała z obrzydzeniem. A czyste, australijskie niebo tak pięknie wyglądało z werandy Mack River.

Obrazy przesuwwały się jak żywe. Nat na wiklinowym fotelu z rozbawioną słodką Daisy, ona przekomarzająca się z mądrą Williamem, a wokół cisza nasyciona śpiewem ptaków i delikatnym poszumem wiatru... No i ta cudowna woń kwiatów...

A potem, wieczorem, kiedy dzieci już zasną, ona i Nat...

Stop!

Jej serce należy do Rossa i o jego względy... o jego miłość będzie walczyć.

- Wiem, co robię - odpowiedziała cierpko, zwracając się w stronę Cleo. Jednak jej głos nie brzmiał tak pewnie, jak sobie tego życzyła.

- Musisz koniecznie włożyć jedną z sukienek, które dzisiaj kupiłyśmy - zawyrokowała nie znoszącym sprzeciwu głosem Cleo, wpychając Purdy do łazienki i zamykając za nią drzwi. - Nawet nie myśl, że na przyjęcie do Sabriny pozwolę ci pójść w dżinsach i podkoszulku! Wiesz, jaka ona jest. Po prostu musisz tam iść i odegrać swoją rolę, to wszystko.

Jaką rolę? - zastanawiała się Purdy, stojąc pod prysznicem. Z ledwością mogła się połapać, co w jej życiu było grą, a co nią nie było.

Nie miała najmniejszej ochoty iść na to głupie przyjęcie, tym bardziej że prawie nie zdążyła porozmawiać z Natem. Wrócił do domu pół godziny po niej i również był zmęczony wyczerpującym dniem.

Pamiętając o uwagach siostry, Purdy przywitała go szybkim pocałunkiem w policzek. Co prawda ledwie musnęła ustami, jednak na Nacie i tak zrobiło to spore wrażenie. Odprowadził ją do pokoju pytającym spojrzeniem.

Poranna pewność, że wszystko jakoś się ułoży, gdzieś wyparowała. Teraz dla odmiany Purdy była przekonana, że czeka ich mnóstwo kłopotów przynajmniej do czasu, aż Cleo i Alex wyruszą w podróż poślubną. A to oznaczało dwa długie dni.

Niestety, nie miała kiedy wspomnieć Natowi o podejrzeniach Cleo, bo przez całe popołudnie ani przez moment nie byli sami. Posunęła się jedynie do zdawkowego pytania o to, jak minął dzień. Nat wiele godzin spędził w towarzystwie Eve. Nauczyła go, jak postępować z maluchami, jakie są ich przyzwyczajenia, pory snu i karmienia. Wspólnie sporządzili też listę rzeczy, które Nat powinien kupić dla bliźniaków jeszcze przed wyjazdem.

- Ruth i Harry bardzo żałowali, że nie było cię dzisiaj ze mną - poinformował Nat, zapominając dodać, jak bardzo sam za nią tęsknił. To dziwne, ale kilka razy, zajmując się bliźniakami, zaczynał do niej coś mówić, dzielić się uwagami, jakby była przy nim. Ot tak, po prostu...

To wszystko przez brak snu, dlatego jest taki rozkojarzony. Niestety, inaczej niż Purdy, która ledwie przykładała głowę do poduszki i już spała, on cierpiał na chroniczną bezsenność.

Do diabła, chyba żywcem pójdzie do nieba jako zadośćuczynienie za tortury, jakie złośliwy los mu zafundował! Sypiał, czy raczej przewracał się z boku na bok w jednym łóżku z dziewczyną swych marzeń i nawet nie wolno mu było jej dotknąć. Za co go biednego to spotkało? Za jakie grzechy?

Widział jej twarz w poświacie księżycy, kuszące krągłości, gładkie ramię zwinięte pod podbródkiem, słyszał jej cichy, słodki oddech, czuł jej zapach...

Czasami bezwiednie wyciągał dłoń, by dotknąć jej włosów lub popieścić palcami skórę, a potem cofał się zawstydzony i odwracał plecami, ponownie próbując zasnąć.

Nawet jeśli zapadał w krótką drzemkę, zaraz wyrzywały go z niej wielkomięskie hałasy. On, dziecko otwartych przestrzeni, dusił się w londyńskim tyglu. Nieustanny szum ulicy, klaksony, muzyka, pokrzykiwania młodzieży... I ta pralka włączona w środku nocy przez któregoś z sąsiadów, te trzaskania drzwiami przez całą dobę, parkujące i odjeżdżające samochody... Nie, to nie mogło dziać się naprawdę! A jednak...

Czy nikt poza nim nie próbuje zasnąć w tym zwariowanym mieście?!

Jego rozmyślania przerwało pojawienie się Purdy. Wyszła spod prysznicą, a potem z Cleo znikły w pokoju. No cóż, panie szykują się na wieczorne wyjście, pomyślał zgryźliwie. Jak widać, naprawdę był w wyjątkowo podłym humorze.

Powlókł się do łazienki, by też się wysztachtować na imprezę u niejakiej Sabriny. Uwinął się z tym szybko i znów siedział sam jak palec, smętnie rozmyślając.

- Proszę o fanfary! - triumfalnie zawołała Cleo, prowadząc przed sobą onieśmieloną siostrę. - Czyż nie wygląda cudownie?

Nat wstał z miejsca. Już nie był w podłym nastroju, o nie. Był oszołomiony, zachwycony, wniebowzięty, bo oto ujrzał najpiękniejszą kobietę świata!

Miękkie, ułożone w łagodne fale włosy okalały delikatnie owal twarzy. Oczy, podkreślone tuszem i cieniem do powiek, zdawały się wprost promienieć swym cudownym, srebrzystoszarym blaskiem.

A do tego owo urocze zawstydzenie, niepewność, onieśmienie...

Miała na sobie krótką sukienkę, odsłaniającą zgrabne kolana. Srebrzysty materiał połyskiwał przy każdym ruchu, idealnie dopasowując się do wypukłości jej ciała i podkreślając niezwykłą barwę oczu.

Zachwycony Nat podążył niespiesznym spojrzeniem w dół, ślizgając się wzrokiem po łydkach i niżej, w kierunku stóp, odzianych w eleganckie, srebrne pantofelki na wysokich obcasach.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widział nóg Purdy.

Nie miał nawet pojęcia, że ta dziewczyna może wyglądać tak... tak...

- No i jak? - przerwała jego kontemplację Cleo. - Co o tym sądzisz?

- Wyglądasz bardzo ładnie, Purdy - powiedział konwencjonalnie, bo nic innego nie zdołał wymyślić.

- Bardzo ładnie? To wszystko, co masz do powiedzenia? - Cleo nie kryła rozczarowania. - Co z ciebie za narzeczony? - Odwróciła się do siostry. - Nie słuchaj go, Purdy. Wyglądasz po prostu fantastycznie. - Zmusiła ją do piruetu. - Problem w tym, że w ogóle się nie starasz. Gdybyś choć trochę popracowała nad swoim wyglądem, miałybyś cały świat u stóp. Dostałaś od Bozi niesamowitą urodę! Ale ty nic tylko te

nieszczęsne dzinsy i podkoszulki... Marnować taki skarb to grzech. Jednak ty robisz wszystko, by nikt cię nie zauważył.

- Ja zauważyłem - wtrącił Nat i podszedł do Purdy, delikatnie położył dłoń na jej policzku, skłaniając, by odwróciła ku niemu twarz. - Ja cię zauważyłem. Zauważam wszystko, cokolwiek ciebie dotyczy.

Zaskoczona i onieśmielona Purdy opuściła wzrok.

- Zauważam najmniejszy promień światła, odbijający się w twoich włosach - mówił dalej Nat. - Twój śliczny uśmiech i niezwykle, fascynujące spojrzenie. Nie potrzebujesz żadnych wyszukanych strojów, by być piękną. Bo ty zawsze jesteś piękna.

Purdy zadrżała. Krew pulsowała jej w skroniach jak oszałała. Przymknęła oczy, wtuliła policzek w dłoń Nata... i poczuła jego usta, które zagarnęły łapczywie jej wargi.

Pokój, Cleo i Alex zniknęli. Jedyne, co istniało, to nieprawdopodobna miękkość ust Nata i głód, jaki poczuła w sobie, z rozkoszą poddając się pocałunkowi.

Przywarli do siebie z namiętną, dziką siłą.

Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

Dosyć, upomniał siebie Nat. Dość!

Jednak smak jej ust był tak słodki, a ona tak wspaniale pasowała do jego ramion...

Wreszcie powoli odsunął swe usta od jej warg, lecz nie zdobył się na to, by wypuścić ją z objęć.

- Uff, to było coś! - otrząsnęła się ze zdumienia Cleo. - Zastanawialiśmy się z Alekssem, czy naprawdę jesteście w sobie zakochani, ale teraz wszystko jest jasne. Jak na was patrzyłam, aż mi się zrobiło gorąco.

I dobrze, pomyślała Purdy. Niech nikt nigdy nie dowie się, że to wszystko tylko gra.

- Późno już, musimy się zbierać - powiedziała nieswoim głosem, unikając spojrzenia Nata.

Niesamowite, ale konieczność udania się na przyjęcie do Sabriny traktowała jako wybawienie. Dotąd unikała tych imprez jak diabeł święconej wody.

Lecz po przyjęciu wrócą do domu i z Natem znajdą się w jednym łóżku. Biedna, słodka, niewinna Purdy była naprawdę przerażona.

Jak to się stało, że ten filmowy pocałunek, wymyślony na użytek Cleo i Aleksa, wcale nie był filmowy, tylko jak najbardziej prawdziwy? Pełen obopólnego ognia i pożądania?

Nat był taki przekonujący. Kiedy spojrzała w jego oczy na chwilę przed tym, nim ją pocałował, mogłaby przysiąc, że widzi w nich prawdziwe uczucie. I prawdziwą namiętność. Nic dziwnego, że Cleo tak łatwo dała się przekonać. Gdyby Purdy nie знаła prawdy, sama by uwierzyła.

Och, ona również świetnie zagrała swoją rolę. Zbyt świetnie. Poddała się dzikiej pieszczocie Nata, uległa i chętna, a po sekundzie jakżesz pełna namiętności! Jak na zakochaną narzeczoną przystało.

Zakochana? Bzdura. Toż znają się zaledwie tydzień!

I co z tego. Przecież w Rossie zakochała się, ledwie go ujrzała. Tak, ale to było coś wyjątkowego. Romantyczna miłość, dzikie uczucie, kosmiczne pragnienia... Miłość jakby nie z tego świata.

Do Nata nigdy nie mogłaby poczuć czegoś podobnego. Był zbyt... swojski, zbyt bliski.

Sabrina, młoda kobieta obdarzona niezwykłymi talentami i olśniewającą urodą, zawsze sprawiała, że Purdy czuła się przy niej jak strach na wróble. Jednak nie tym razem. I nie tylko za sprawą srebrzystej mini.

Gospodyni przywitała ich w progu. W głębi mieszkania, jak zwykle, aż roіło się od gości.

- Ach, więc to ty jesteś tym słynnym kowbojem Purdy! - zawołała na widok Nata i władczo zagarnęła go ramieniem. -

Chodź, przedstawię cię reszcie. Wszyscy umierają z ciekawości.

Ku najwyższemu zdumieniu Purdy, Nat wcale nie był onieśmielony, ale szczerze ubawiony. Pochwycony przez Sabrinę za ramię, ruszył w głąb salonu, rzucając błyskotliwe i dowcipne uwagi.

I tyle jeśli chodzi o miłe strony tego przyjęcia. Bo jak zwykle było tu nudno i hałaśliwie.

Purdy raz po raz natrafiała na znajome twarze, jednak nikt specjalnie się nią nie interesował, tylko wszyscy wypytywali o Nata. Namolnie drażono, czy naprawdę zamierzają się pobrać, wszyscy też nieodmiennie dowcipkowali o kangurach, dziobakach, misiach koala, bumerangach i Krokodylu Dundee.

Było to wyjątkowo nużące, do tego Sabrina całkowicie zawłaszczyła Nata, prezentując go kolejnym gościom niczym łup wojenny. Skoro mu to odpowiada, jego sprawa. Purdy wzruszyła z rezygnacją ramionami.

Cóż, w postępowaniu Sabriny pod powłóczką dobrych manier kryła się złośliwa arogancja. Choć z jej ust płynęły słodkie słówka, jej wzrok zdawał się mówić: „Ale sensacja. Mała Purdy złowiła w Australii faceta. Patrzcie tylko, jaki okaz!”.

Mimo protekcyjnego zachowania Sabriny, Nat zrobił na wszystkich duże wrażenie, a dziewczyny wprost oszalały na jego punkcie. Kokietowały, prezentowały swe wdzięki, wabiły... Małomówny, nieco schowany w sobie mężczyzna o surowej urodzie i mądrym spojrzeniu, od czasu do czasu rzucający błyskotliwe, zdystansowane uwagi, zdecydowanie wyróżniał się wśród hałaśliwych, puszących się londyńczyków. Biła z niego naturalna pewność siebie i siła, stabilność i uczciwość.

I był tu absolutnie nie u siebie. Przybysz z dalekich stron, który wpadł tu tylko na chwilę. Purdy znów zaczęła

wspominać ich wspólne popołudnie w Mack River. Upał, cisza, cudowny spokój. I tętent końskich kopyt, odgłosy ptactwa, poszum wiatru...

Tak, zupełnie tu nie pasował, choć rozumiała to tylko Purdy. Londyńskie dziewczyny, które teraz robiły do niego maślane oczy, byłyby zdumione, gdyby dowiedziały się, co Nat sądzi o wielkomijskim zgiełku i jakiego życia naprawdę pragnie.

Przymknęła powieki, usiłując jeszcze przez chwilę rozkoszować się wspomnieniem Mack River, i poczuła, że ktoś zatrzymał się przy niej. Otworzyła oczy. To był Nat.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Nic mi nie jest - zaprzeczyła, choć była bliska łez.

- Wyglądało, jakbyś...

- Wszystko w porządku! - przerwała mu.

- Jeśli chcesz, możemy stąd iść.

Wszystko, czego chciała, to znaleźć się w Mack River i zapomnieć. Zapomnieć o wszystkim. Tego jednak nie mogła mu powiedzieć.

- Nie, skąd - zaprzeczyła już łagodniej. - Nie teraz, kiedy tak dobrze się bawisz. Zresztą Sabrina już cię szuka, zastanawiając się pewnie, dlaczego tracisz czas na rozmowę ze mną. W końcu jestem tylko twoją narzeczoną, prawda?

Przy ostatnich słowach próbowała się uśmiechnąć. Nagle usłyszeli głos gospodyni.

- Ach, więc tu się schowałeś, Purdy! Na twoim miejscu nie spuszczałabym Nata z oka. Wszyscy są pod wrażeniem. - Sabrina, co u niej rzadkie, była w tej chwili szczerą i życzliwą.

- Gratulacje. Za jego spokojnym, silnym spojrzeniem można by pójść na koniec świata! Ale bez obaw, nie masz najmniejszych powodów do zazdrości. Ten kowboj nie odrywa od ciebie wzroku ani na minutę. Szczęściara z ciebie!



- Sabrino - wtrącił Nat. - Naprawdę się cieszę, że cię poznałem, ale niestety musimy już iść.

- Och, nie róbcie mi tego - jęknęła. - Przyjęcie dopiero się zaczyna!

- Przykro mi i szczerze żałuję, ale Purdy i ja jesteśmy bardzo zmęczeni. Mamy mnóstwo zajęć przez cały dzień, no i zmiana klimatu też zrobiła swoje.

- Musimy wypocząć przed ślubem Cleo - przyszła mu z pomocą Purdy.

- Tak, rozumiem, chcecie pobyć trochę sami - pokiwała głową Sabrina, nie kryjąc rozczarowania. - Cleo i Alex obiecali zostać do końca, więc całe mieszkanie macie tylko dla siebie. Trudno. W takim razie do zobaczenia na ślubie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Z prawdziwą ulgą wyszli na dwór. Purdy wciągnęła głęboki haust letniego, wieczornego powietrza. W tym samym momencie Nat wypuścił jej dłoń.

Purdy poczuła się nieswojo. No cóż, nikt ich nie obserwował, po co więc udawać zakochaną parę...

- Poszukamy taksówki czy się przejdziemy? - zapytała chłodno. - To nie jest zbyt daleko.

Szli jakiś czas w milczeniu, niby razem, lecz tak naprawdę osobno.

Nat uznał, że ci zwariowani londyńczycy nie odróżniają dnia od nocy. Słońce już dawno zaszło, a życie na ulicach kwitło w najlepsze. Przechodnie, samochody, oświetlone witryny, hałaśliwe bary i restauracje...

Londyn i Mathison należą do dwóch kompletnie różnych światów, pomyślał.

Natomiast Purdy nie zajmowała się Londynem, tylko nadal kontemplowała ten niezwykły pocałunek sprzed kilku godzin. Wciąż nie pojmowała, jak mogło dojść do takiego wybuchu namiętności. Gdyby byli romantycznymi kochankami, to proszę bardzo, ale łączyła ich tylko przyjaźń! Nic się nie zgadzało. Nic, poza jednym: naprawdę świetnie odgrywali swoje role. Zakochana para, przyszli małżonkowie... Nie jest łatwo to zagrać, a jednak im się udawało, i to bez specjalnych kłopotów. Co tam, wszystko szło jak po maśle. Jakby urodzili się do tej roli...

- Jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś - odezwała się.

- Czyli za co?

Za ten piekielny, namiętny, dziki pocałunek, odpowiedziała w myślach.

- Czy Cleo tobie również suszyła głowę?

- Suszyła głowę? Za co? - Był kompletnie zagubiony.

- Zamartwiała się, że jesteśmy zbyt mało czuli w stosunku do siebie. Przecież mamy niedługo się pobrać. Sądziłam, że kiedy byłam pod prysznicem, wspomniała ci o tym.

Więc to z tego właśnie powodu jej odpowiedź na pocałunek była tak... żywa? A on, naiwny, sądził, że...

Chciała tylko przekonać siostrę, że naprawdę są zaręczeni, nic więcej.

Czego jednak się spodziewał? Że Purdy rzuci mu się w ramiona? Ona, która jest śmiertelnie zakochana w Rossie?

- Cóż, sam miałem pewne wątpliwości. - Skoro Purdy znalazła sobie tak zgrabne wytłumaczenie, dlaczego miałby z niego nie skorzystać? - Wolałem podjąć pewne kroki, zanim Cleo naprawdę zacznie nas podejrzewać. Zdaje się, że poszło nam całkiem nieźle.

- O, tak. Dobrze znam swoją siostrę i wiem, że po tym przedstawieniu pozbyła się wszelkich wątpliwości.

Ponownie zapadła cisza. Rozmowa zamarła. Powoli! Ostrożnie! - huczało w głowie Purdy. Pamiętaj, tylko nie zrób z siebie idiotki. Pamiętaj o Kathryn. Pamiętaj o Rossie. Zapomnij o pocałunku. To tylko gra.

Mieszkanie wydawało się puste i obce. Pozostało im tylko wziąć prysznic i położyć się spać. Tak jak każdego wieczoru.

Purdy jednak wiedziała, że ten wieczór nie był jak poprzednie. Jeden pocałunek wszystko zmienił. Nie była w stanie położyć się do łóżka i czekać, aż Nat zrobi to samo. Do tej pory kładli się obok siebie jak przyjaciele, lecz teraz atmosfera się zageściła.

Długo stała pod prysznicem, odwlekając nieuniknioną chwilę. Wreszcie włożyła koszulę nocną i szykowała się do opuszczenia łazienki. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze.

Skrzywiła się z dezaprobatą. Zwyczajna, szara dziewczyna, zwyczajna, bezkształtna koszula. Ot, takie nic. Ale czy nie o to właśnie chodziło?

Kłopot tylko w tym, że ta banalna koszula będzie jedyną barierą odgradzającą ją od Nata...

Stop! Dosyć tego. Pójdzie tam, położy się, zamknie oczy i zaśnie. Jak każdej nocy. Musi się tylko uspokoić.

Tylko jak to wykonać?

Nat już leżał, kiedy weszła do pokoju. Nie zapalając światła, położyła się na swojej części łóżka. Dziwne, ale nagle stało się jakby mniejsze.

Cicho przekręciła się na bok. Nat chyba już zasnął i starała się go nie obudzić.

Przekręciła się na drugą stronę. Później jeszcze raz i jeszcze raz.

Było jej to gorąco, to zimno.

Lepiej by było, gdyby zostali na przyjęciu.

Jednak wsłuchując się w spokojny, miarowy oddech Nata, powoli zrelaksowała się, powieki zaczęły opadać.

Prawie już spała, gdy nagle poczuła jakiś ciężar na brzuchu. Och, nie wystraszyła się, bo było to bardzo przyjemne doznanie.

To była ręka Nata. Po chwili cały się wtulił w Purdy, z lekka pochrapując.

Purdy zamruczała coś przez sen, odwróciła się w jego stronę i wczepiła się w niego jak kociak. Teraz dopiero mogła zasnąć na dobre.

Jednak po niedługim czasie otrzeźwił ją dotyk warg Nata na jej szyi. Półprzytomny, z przymkniętymi oczami, przesunął swe usta niżej i niżej, wtulając się słodko w jej piersi i tam się zatrzymał.

Purdy jęknęła cichutko. Nie mając odwagi drgnąć, by nie zbudzić go ze snu, ponownie przymknęła powieki.

Zapadła w sen pełen marzeń.

Ostry, hałaśliwy dźwięk dobiegł ich uszu, w chwili kiedy Cleo otwierała bramę wejściową.

- Angus - wyjaśniła Purdy. - Ukochany piesek mamy. Całkowicie poza kontrolą.

Siostry ze swymi narzeczonymi przybyły z wizytą do rodziców.

Dzisiejszy dzień należał do bardzo udanych. Spędzili go w towarzystwie Williama i Daisy. Bliźniaki były tak urocze, że Purdy z wielkim żalem je żegnała.

Szczęśliwie Nat zdawał się nie pamiętać, co wydarzyło się w nocy. Zachowywał się jak każdego innego dnia, czyli spokojnie i uprzejmie. Purdy przyjęła to z ulgą.

Zresztą wraz z upływem czasu coraz bardziej nabierała pewności, że nocny incydent tylko jej się przyśnił. A może jednak nie? Wreszcie postanowiła, że nie będzie się w to wgłębiać. Marzenia senne mówią o naszych pragnieniach, które chcielibyśmy zrealizować na jawie. Więc czy jawa, czy sen, tak źle, a tak jeszcze gorzej.

Kiedy matka Purdy otworzyła drzwi, hałaśliwy terier wyskoczył za próg i z zapalem zaczął witać gości, kompletnie ignorując upomnienia swojej pani.

- Wszystko, co możemy zrobić, to przeczekać - odezwała się gospodyni. - Kiedyś wreszcie mu się znudzi.

Nat spojrzał na ujadające zwierzę.

- Cisza! - krzyknął stanowczo.

Zaskoczony pies przerwał na chwilę, zaraz jednak znów zaczął zajadle szczeleć.

Nat pochylił się nad Angusem i spojrzał mu w oczy.

- Cisza! - powtórzył. O dziwo, tym razem terier zamilkł na dobre. - Dobry pies. A teraz siad!

Pies usiadł jak trusia, nasłuchując dalszych poleceń.

Efekt był piorunujący. Angus zyskał w rodzinie i wśród znajomych sławę kompletnie niereformowalnego stworzenia, lecz oto znalazł się jego pogromca. Nat pogłaskał go

pieszczotliwie za uszami, a terier przyjaźnie zamachał ogonem.

- Dobry pies - powtórzył Nat. - Dobry pies.

- No, no! - zawołała z podziwem matka Purdy. - Wprost niesamowite. Angus poskromiony! Ten dzień przejdzie do historii. Proszę, wejdź do środka, Nat. Marisa nie może się doczekać, żeby cię poznać.

- Gratulacje! - szepnęła Cleo do Purdy. - Mama jest już kupiona. Jeśli Nat poradził sobie z jej ukochanym Angusem, to znaczy, że potrafi wszystko.

Kiedy wreszcie znaleźli się w środku, Cleo odezwała się ponownie.

- Wyobraźcie sobie, Nat zreperował okno w mojej łazience. To okno, za które nikt nie chciał się wziąć. - Z satysfakcją rozejrzała się po zebranych. - A on po prostu wszedł, pociągnął i okno otwiera się bez problemu. Nie wyobrażam sobie nawet, ile musiałabym się nasłuchać od Aleksa, zanim w ogóle by się za nie zabrał. - Cicho dodała, zwracając się do Purdy: - Zaczynam rozumieć, dlaczego Nat wydaje się taki atrakcyjny. Obserwowałam go na przyjęciu. To niesamowite, ale oczarował wszystkich. Przystojny, spokojny, dowcipny, bystry, uprzejmy... no i ten jego uśmiech!

- Wiem - potwierdziła Purdy.

- Ciociu Purdy! Ciociu Purdy!

Katie i Ben, dzieci jej najstarszej siostry, Marisy, już pakowały się jej na kolana. Przed wyjazdem do Australii spędzała z nimi dużo czasu i teraz z radością witały się z ukochaną ciocią. Wzruszona Purdy przytuliła je czule i ucałowała.

Katie i Ben byli w siódmym niebie. Uczepiwszy się jej włosów, wdrapywali się na nią i spadali, zanosząc się od śmiechu. Jednocześnie jedno przez drugie opowiadali, co wydarzyło się w ich życiu podczas nieobecności cioci.

Nat przyglądał się tej scenie w niemym zachwycie. Widząc Purdy, potarganą i wytarmoszoną, ale szczęśliwą i roześmianą, wprost nie mógł oderwać od niej wzroku. Pewien był, że nigdy nie była tak piękna jak podczas tej rodzinnej scenki.

- Popatrz, co one z tobą zrobiły! - Marisa podeszła do Purdy, całując ją z uśmiechem i próbując wprowadzić jako taki porządek na jej głowie. - Dzieci, to jest Nat. Ciocia i Nat zamierzają się pobrać.

Nim zdążyła dodać, że dzieci potrzebują trochę czasu, by oswoić się z nieznanym, Ben śmiało zbliżył się do Nata i chwycił go za rękę.

- Dlaczego chcesz być mężem cioci Purdy? - zapytał. Zaskoczona Purdy zdusiła okrzyk dłonią.

- Ponieważ jestem w niej zakochany - spokojnie wyjaśnił Nat.

- Dlaczego? - nie dawał za wygraną chłopiec. Jedno spojrzenie w kierunku Purdy wystarczyło, by znać odpowiedź. Tym razem jednak Nat postanowił być bardziej powściągliwy.

- Nie obraż się, jesteś mądrym chłopakiem, ale musisz troszkę podrosnąć, żeby to zrozumieć.

- A co trzeba robić, kiedy jesteś w kimś zakochany?

- Ben próbował z innej beczki.

- Nic. Jesteś zakochany i już. To wszystko.

- Ale dlaczego? Coś przecież trzeba robić? Phil, ojciec Bena, postanowił przyjść z pomocą.

- Jak się jest zakochanym, to trzeba od czasu do czasu pocałować dziewczynkę. A ty tego nie lubisz, prawda, synu?

- Jasne, że nie! - Ben wykrzywił twarz z udawaną odrazą. Jako sześciolatek, wchodził właśnie w wiek, kiedy publiczne okazywanie uczuć budziło jego zdecydowany sprzeciw.

- Przepraszam, Ben. - Purdy nie mogła powstrzymać śmiechu. - Powinnam była o tym pamiętać. Obiecuję, że nie pocałuję cię już nigdy więcej!

- Ty możesz, ciociu Purdy - odpowiedział z powagą.

- Lubię, jak mnie całujesz. Tak ładnie pachniesz.

- Właśnie - wtrącił Nat, nie spuszczać wzroku z twarzy Purdy. - I o to właśnie chodzi. Teraz już rozumiesz, dlaczego chcę poślubić waszą ciocię.

- Aaa... - skwitował przeciągle Ben, ignorując śmiech zebranych. - Czy chcesz obejrzeć moją kolekcję samolotów?

- Nie, Ben, nie teraz. - Marisa stanowczo wkroczyła do akcji. - Pora spać.

Dzieci zmarkotniały, jednak zaraz się rozpogodziły, gdy Purdy i Nat obiecali, że poczytają im do snu.

Na górze, w pokoiku, który teraz zajmowały dzieci, a kiedyś Purdy, ogarnęło ją dziwne onieśmienie. Wsłuchana w głos Nata, który czytał fragment jakiejś bajki, poczuła się dziwnie obco i samotnie. Świadomość, że jej związek z Natem to tylko chwilowa komedia, odbierała jej całą radość. Za wszelką cenę musiała pamiętać o Kathryn. I o Rossie, rzecz jasna.

- Ciociu Purdy, ty drżysz - ze strachem szepnęła Katie.

- Nie, nie, kochanie, to nic - uspokoiła ją, starając się nie patrzeć na Nata. - Trochę zmarzłam, to wszystko.

Kiedy dzieci zasnęły, Nat i Purdy zeszli na dół. Czekano już na nich z szampanem i po chwili wzniesiono toast za szczęście Cleo i Aleksa. Narzeczeni podziękowali długim, namiętnym pocałunkiem.

Ku przerażeniu Purdy, Cleo wzniosła następny toast:

- Wypijmy również za pomyślność mojej siostrzyczki i Nata!

- Och, nie! - zaprotestowała Purdy. - Przecież to wasz wieczór, Cleo.



- Z radością będę go dzielić z tobą. Musimy jakoś uczcić wasze narzeczeństwo.

- To świetny pomysł - poparł ją ojciec Purdy. - Wszyscy cieszymy się twoim szczęściem, kochanie. - Przytulił ją do siebie, a potem uściskał dłoń Nata. - Pamiętaj, synu, Purdy jest naszym skarbem. - Był wyraźnie wzruszony. - Nigdy nie przestawaj jej kochać, pilnuj i dbaj o nią.

- Będę - obiecał Nat.

- Za Purdy i Nata!

Nat, widząc przerażenie w oczach Purdy, sięgnął po jej dłoń i ucałował. Oczywiście zebrani gwałtownie zaczęli domagać się więcej.

Nat podjął desperacką decyzję.

Przyciągnął do siebie Purdy i złożył na jej ustach szybki, gwałtowny pocałunek.

Purdy poczuła, jak ziemia pod jej stopami zawirowała.

Doskonale wiedziała, dlaczego Nat ją pocałował. Ot, następna scena ich spektaklu. Jednak jej spragnione usta zaczęły żyć własnym życiem...

Lecz Nat szybko pozbawił ją złudzeń. Zrobił, co konieczne, i tyle. No cóż, pamięć o pięknej Kathryn nie pozwalała mu na nic więcej...

Wreszcie zasiedli do wystawnej kolacji. Purdy z niechęcią spojrzała na talerz. Kompletnie straciła apetyt.

Targana na przemian to zimnem, to gorącem, nie miała siły, by spojrzeć w oczy Nata, za to obserwowała jego dłonie, zręczne, zgrabne i silne.

Przed chwilą tak delikatnie, tak rozkosznie ją pieściły i kołysały jej niepokój...

Czy to, co wydarzyło się nocą, mogło być tylko snem?

Sięgnęła po kieliszek i upiła duży łyk. Z desperacją próbowała włączyć się do ogólnej rozmowy, ale szło jej jak po grudzie.

Mogła myśleć tylko o Nacie.

To, jak się uśmiechał.

To, jak na nią patrzył. To, jak jej dotykał.

Silny, spokojny, solidny... i namiętny. Pragnęła jednego. Wyprowadzić go stąd, znaleźć odosobnione miejsce i całować się z Natem, przytulać... Chciała...

- Purdy!

Odwróciła się gwałtownie.

- Tak? Przepraszam, o co chodzi? - spytała niezbyt przytomnie.

- Nic nie zjadłaś, córeczko - powiedziała z troską matka. - Czy coś się stało?

- Nie, oczywiście, że nie - zaprzeczyła gwałtownie.

- Biedna, mała Purdy - zachichotała Cleo. - Jeszcze nigdy nie była tak zakochana.

Zakochana? Ona?!

- Jakaś ty przerażona, siostrzyczko! - zawołała Marisa. - Ale to twój narzeczony i świetnie się składa, że właśnie jego kochasz. - Roześmiała się. - Jak i on ciebie. Cudownie, że wreszcie się zakochałaś.

Ale przecież się nie zakochała! Nie w Nacie...

Wszystko, co czuła, to jedynie...

Co? - zapytała samą siebie.

Czego pragnę? - dodała po chwili w duchu.

By ją całował? Dotykał jej? By spędzili razem resztę życia?

Zdesperowana, spojrzała na Nata. Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

- Powinniście się jak najszybciej pobrać - zawyrokowała Marisa, opacznie rozumiejąc tę wymianę spojrzeń.

- Ależ Mariso... - próbowała zaprotestować Purdy. Czy ten wieczór nigdy się nie skończy?!

- Dlaczego by nie? - podchwyciła matka. - Dlaczegoż nie mielibyście się pobrać jeszcze przed waszym powrotem do Australii?

- Świetny pomysł - wtrąciła Cleo. - Poczekajcie tylko, aż ja i Alex wrócimy z podróży poślubnej.

Purdy nie wierzyła własnym uszom. Zaledwie dwa dni temu obie, Cleo i jej matka, kręciły głowami, nie mogąc uwierzyć, że Purdy zamierza wpakować się w małżeństwo z obarczonym dwójką dzieci Australijczykiem, a teraz gotowe są zrobić wszystko, by do małżeństwa doszło jak najprędzej. A stało się tak przez Angusa, który posłuchał rozkazów Nata. Nie do wiary!

- Jeszcze na to za wcześnie - zaproponowała.

- Po co czekać? Przecież widać, że jesteście dla siebie stworzeni.

Ponieważ Nat kocha inną! - krzyknęła w duchu Purdy. Wymyśliła jednak inny argument:

- William i Daisy powinni się do nas przyzwycząić, zanim zdecydujemy się na taki krok.

- C o t y o p o w i a d a s z , s i o s t r z y c z k o - zaproponowała Cleo. - Będzie dużo lepiej, kiedy od razu zyskają prawdziwą rodzinę.

- Zgadza się - potwierdziła Marisa. - Obiecuję, że zaopiekuję się nimi podczas waszego miesiąca miodowego. Nawet się tego domagam, bo Katie i Ben będą zachwyceni.

- Nie chcemy... - zaczęła niepewnie Purdy i utknęła. Nic jej już nie przychodziło do głowy.

- Chcemy się pobrać w Australii - pospieszył z pomocą Nat. Cóż, nie miał złudzeń. Purdy pragnęła wyjść za mąż, ale nie za niego. - Prawda, kochanie?

Purdy przytaknęła.

Doskonale wiedziała, że takie było życzenie Nata. Ślub w Australii. Ale nie z nią, lecz z piękną, długonogą i pewną siebie Kathryn.

- Cóż... - Matka, podobnie jak Cleo i Marisa, była bardzo rozczarowana. Nagle oczy jej rozbłysły. - W takim razie wybierzemy się do Australii.

- Och, to zbyt wielki trud - zaprotestowała przerażona Purdy. - Drugi koniec świata...

- Nonsens, kochanie. - Matka machnęła ręką. - Oczywiście, że przyjedziemy na twój ślub.

- Połączymy to z wakacjami. Urlop w Australii, fantastycznie! - entuzjasmowała się Cleo.

Cleo? W Australii? Mimo najszczęśliwszych chęci Purdy nie bardzo mogła sobie to wyobrazić.

- Ależ... - zaczęła ponownie.

- O co chodzi? - Cleo nagle stała się czujna. - Nie chcecie, żebyśmy przyjechali?

- Oczywiście, że chcemy - powiedział Nat z uśmiechem. - W Mack River jest wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić wszystkich. Możecie czuć się zaproszeni.

Zadowolone z takiego obrotu sprawy panie zaczęły snuć śmiałe wizje o tym, jak będzie wyglądać wesele w dzikiej głuszy na antypodach.

Purdy, choć przerażona, zaczęła chichotać. Matka i jej siostry naprawdę nie miały pojęcia, o czym mówiły.

- ... a kiedy wyjdziecie z kościoła, towarzyszyć wam będzie orszak aborygeńskich wojowników - snuła swoją wizję Cleo. - Aborygeni nie są wprawdzie przystojni, ale prezentują się bardzo malowniczo. Widziałam ich w kilku filmach.

- Wszędzie mnóstwo kangurów, na eukaliptusach misie koala, czasami przemknie urocza panda...

- Pandy żyją w Chinach - sprostował Phil, który wprost dusił się ze śmiechu. Puścił oko do Nata.

- Nie szkodzi. - Marisa nie przejęła się drobną pomyłką. - To jakieś inne zwierzaki. A kiedy już zapadnie noc i pokaże się Wielka Niedźwiedzica...

- Krzyż Południa... - wtrącił Nat.

- Ach, prawda... A więc kiedy na niebie pokaże się Krzyż Południa, rozpoczną się pokazy sztucznych ogni...

- Wtedy aborygeńscy wojownicy zaczną bić pokłony, widząc w tym znak potęgi wielkiego Nata Mastermana i jego oblubienicy Purdy - zakończył Phil i zachichotał.

Nat dusił się ze śmiechu, reszta poszła za jego przykładem. Zapanował harmider.

To rozładowało sytuację. Swoją drogą Purdy była oszołomiona. Jej mama i kochane siostrzyczki, kobiety eleganckie i nadające się tylko do życia w mieście, wybierały się na australijską prowincję. Kompletnie się do tego nie nadawały. Tam są żmije, węże, jaszczurki...

Ale cóż, i tak tam nie przyjadą. Nie będzie ślubu, nie będzie wesela. Wkrótce komedia dobiegnie końca, a potem ona i Nat...

Właśnie, co potem?

W drodze powrotnej Purdy nie odezwała się słowem. Nat również milczał.

Dzięki Bogu Cleo była w swej normalnej dyspozycji, paplała więc bez ustanku. Właśnie wpadła na pomysł, by ślub odbył się w środku pustyni przy samotnym źródelku.

- To takie romantyczne i pełne głębokiej symboliki. Wokół pustynia, czyli śmierć, lecz źródło jest znakiem życia i zwycięstwa. Jak miłość.

Purdy zrobiło się słabo.

Kiedy wreszcie znalazła się pod prysznicem, poczuła niewysłowioną ulgę.

Nie na długo jednak, bo uświadomiła sobie, że czeka ją następna noc u boku Nata.

Poczuła się kompletnie bezradna. Przestała rozumieć samą siebie. Przeraziła się bała, a zarazem pragnęła go. Kochała Rossa, a zarazem tęskniła za Natem. To wszystko nie miało sensu.

No cóż, jest niezrównoważoną idiotką, która nie wie, czego tak naprawdę chce. Powinno się przed nią ostrzegać innych ludzi.

Co się z nią stało? Zakochała się w Rossie i postanowiła o niego walczyć. Świat wydawał się prosty i jasny, choć zarazem pełen cierni.

Nagle wszystko zrozumiała.

Nie, nie jest niezrównoważoną idiotką. Zakochała się w Rossie jak w aktorze z fotosu. Idealizowała go, podziwiała urodę, wdzięk, piękny uśmiech. To nie była miłość, tylko zwykłe zauroczenie. Lecz naiwnie sądziła, że to prawdziwe, głębokie uczucie.

Zdarza się. Każdy może się pomylić.

Miłość dopadła ją dopiero teraz. Twarda, nieustępliwa miłość, która nie zna litości i kompromisów. Człowiek staje się jej niewolnikiem, choćby nie wiem jak bardzo przed nią się bronił.

O Rossie marzyła, bo była spragniona miłości.

Nata pragnęła desperacko i ostatecznie.

Mój Boże, w co ona się wpakowała... Czeka ją wieczne niespełnienie.

Po jej policzku popłynęła samotna łza

Purdy zacisnęła zęby. Nie, nie będzie użalać się nad sobą. Musi stłumić emocje i zachować spokój. Nat nie może spostrzec, co się z nią dzieje. Postawiłoby go to w nad wyraz niezręcznej sytuacji, a jej przysporzyło upokorzenia.

Zaczęłyby ją pocieszać, tłumaczyć, że całe życie przed nią i jeszcze spotka właściwego mężczyznę...

Nie przeżyłaby tego.

A ten czas, który zgodnie z umową mają jeszcze razem spędzić, stałby się prawdziwym koszmarem.

Wszystko, co mogła, to czekać, by uczucie, jakie nią zawładnęło, zniknęło równie nagle, jak się pojawiło.

- Czy coś się stało? - usłyszała zdziwiony głos Nata, gdy wreszcie pojawiła się w pokoju.

Siedział w rogu łóżka, opierając głowę o ścianę.

Rzeczywiście, odkąd opuścili dom jej rodziców, nie odezwała się do niego ani słowem. W jego oczach kryło się nieme pytanie.

- Nic - odpowiedziała, siadając z drugiej strony łóżka. - Jestem tylko wykończona.

- Przez cały wieczór nie byłeś sobą - drażył uparcie, zbywając jej nieporadny wykręt. - Czy coś się stało?

Będzie mnie tak dręczył do upadłego, pomyślała rozżalona. Nawet on nie ma dla mnie litości.

No cóż, uznała, jak to zwykle w takich chwilach bywa, że cały świat zwrócił się przeciwko niej.

- Purdy, naprawdę jesteś dziwna. Martwię się o ciebie. Powiedz wreszcie, co się stało.

- Co się stało?! - powtórzyła z irytacją. - Ależ nic, oczywiście, że nic... poza tym, że musieliśmy wysłuchać głupich żartów na nasz temat. Tylko że Cleo, Marisa i mama wcale nie żartowały, a tata, choć zawsze pełen rezerwy, szczerze cię polubił i całym sercem przyjął do rodziny. Wszyscy uwierzyli, że dziwaczka i marzycielka Purdy wreszcie znalazła swoje miejsce na ziemi... - Jej oczy niebezpiecznie się zaszklily, lecz zaraz znów błysnęły gniewem. - Nie powinniśmy byli się w to pakować. To szalony, kretyński pomysł! Wiesz, co się stało? Cała moja rodzina nie może już się doczekać, kiedy przyjedzie do Australii na nasz ślub. Oszukujemy moich najbliższych,

drwimy z nich. Za co ich to spotyka? Czuję się z tym tak podle... To koszmar... Kiedy on się wreszcie skończy?!

- Jak tylko wrócimy do Australii - powiedział spokojnie, a potem przysunął się do niej. - Napiszesz, że przemyśleliśmy wszystko i ślubu nie będzie.

Tęsknota za tym, by znaleźć się w jego ramionach, stała się tak silna, że niemal bolesna.

- Będą strasznie rozczarowani... - zachlipała.

Nat poczuł nieprzepartą chęć, by ją objąć i przytulić do siebie, pocieszyć. Na szczęście powstrzymał się. Zbyt mało sobie ufał, by ryzykować takie przyjacielskie gesty.

- Pragnę twojego szczęścia, i tylko to ma dla nich znaczenie. A ty możesz być szczęśliwa tylko z Rossem.

Ross? Niech diabli porwą Rossa z całym jego przystojniactwem! Pragnęła tylko Nata. Wiedziała to z całą pewnością.

- Taaak - wyjąkała.

- Wyobrażam sobie, jak musi ci go brakować.

- To prawda.

Była gotowa zrobić wszystko, by nie zauważył, jak wielka namiętność ją ogarnia. Jeszcze chwila, a rzuci się na Nata niczym dzika, wyuzdana pogańska bogini miłości.

W jej oczach znów zalśniły łzy. Ogarniała ją czarna rozpacz. Była chora z pożądania, zakochana do szaleństwa... i całkowicie bezsilna.

- Zobaczysz, rozłąka jedynie wzmocni to, co było między wami - próbował ją pocieszyć.

- Tak... Na pewno tak - mruknęła półprzytomnie. - Nie miałam tylko pojęcia, że miłość musi być aż tak... trudna. Czy rozumiesz, o czym mówię?

Spojrzał na jej bladą, zgaszoną twarz, na cień rzęs na policzkach. Tak wiele by dał, by móc ją przytulić.

- Dobrze wiem, o czym mówisz, Purdy.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tej nocy miała piękny sen.

Delikatne, czułe pocałunki Nata, dotyk jego dłoni... Jej ciało, tak dotąd niewinne, teraz szykowało się na przyjęcie ostatecznej rozkoszy.

Dłoń Nata pieści jej kolano, odgarnia nocną koszulę, powoli wędruje ku górze...

Śniąc, odwróciła się w jego stronę i jej usta zatopiły się pożądliwie w jego wargach. Silnie, namiętnie i zaborczo.

Nareszcie. Nareszcie mogła zrobić to, czego pragnęła od tak dawna. Liczyło się tylko to, że nareszcie mogli być razem - ona i Nat.

Liczył się tylko smak jego ust, jego ciało, po prostu on.

- Proszę... - wyszeptała. Tak bardzo nie chciała, by przestał. - Proszę...

Nat ledwie ją usłyszał.

Prosiła, błagała, by przestał.

Ten cios był nieledwie ponad jego siły.

Co z tego, że ich ciała splotły się ze sobą, skoro w oczach miała strach, paniczne przerażenie? Skoro była oszołomiona, wstrząśnięta?

Zsunął się z niej.

- Co... co... - wyjąkała zupełnie już rozbudzona Purdy. Ten słodki sen okazał się jawą. - Co się stało?

- Przepraszam... - mruknął Nat. - Ja...

Jak jednak miał jej opowiedzieć, że rozbudził się, gdy jej ramię tak słodko, kusząco dotknęło jego ciała? Jakimi słowami miał wytłumaczyć, że zachowywała się tak, jakby go pragnęła?

A później, gdy w odpowiedzi na jego pocałunek odwróciła się, tak namiętna, tak spragniona...

Jak to się stało, że jej pocałunek mógł wziąć za odpowiedź na swoje pieszczoty? Jak mógł nie pomyśleć, że rozespana i na pół przytomna, rozpoznaje w nim nie jego, lecz Rossa?

A później ta jej cicha, błagalna prośba, by przestał.

- Przepraszam - powtórzył. Było to wszystko, co potrafił powiedzieć.

Nie czekając dłużej, wstał i skierował się do drzwi.

Trzymając dłoń na klamce, odwrócił się jeszcze, by spojrzeć na Purdy.

Leżała bez ruchu jak odurzona. Zawstydzona i zagubiona, jakby nadal nie mogła zrozumieć, co się stało.

- Przepraszam... - wyszeptał znowu. - Wybacz mi. Purdy nie poruszyła się. Za nic nie mogła pojąć, jak to

się stało, że wspaniały, pełen dzikiej namiętności sen w jednej chwili przemienił się w tak koszmarną rzeczywistość. Z jakiego powodu?

Nigdy nie zaznała takiego upokorzenia. Wspomnienie Nata i jego pieszczot mieszało jej się z tym, co wydarzyło się później. Zaskoczenie i przerażenie w jego oczach, gdy uświadomił sobie, do czego oboje zmierzają. Niesmak, z jakim zsuwał się z jej ciała. I pełne zażenowania przeprosiny...

Przycisnęła dłonie do twarzy, by powstrzymać łzy. Nie mogła teraz płakać. Za nic nie powinna przecież zdradzić Natowi, jak bardzo go pragnęła i jak boleśnie ją zranił. Nie zniosłaby jego dalszych przeprosin, zakłopotania i uprzejmie skrywanej niechęci.

Ale jak poradzi sobie z pogardą, którą czuła do samej siebie?

Och, poradzi sobie... za jakieś dwadzieścia, może pięćdziesiąt lat.

Ale to będzie później, natomiast co miała zrobić teraz?

Na pewno nie mogła udawać, że nic się nie stało. Musi pójść do Nata i wyjaśnić mu, że miała erotyczny sen... Boże,

jak jej to przejdzie przez gardło? A więc miała erotyczny sen z Rossem, a że Nat leżał obok niej, doszło do pomyłki... Dlatego błagała go, by się z nią kochał. Była nieprzytomna, śniła...

Czy odważy się to powiedzieć? Musi, bo inaczej następne trzy tygodnie staną się jeszcze większym koszmarem.

Bo już się w nim znalazła. Udawane uczucie przerodziło się w tajemną, nieszczęśliwą miłość i Purdy, by zachować resztki godności i zwyczajnie nie zwariować, musiała brnąć w piętrowe kłamstwa. Oszukuje rodzinę, że jest zakochana w Nacie, choć tak naprawdę rzeczywiście jest w nim zakochana, lecz okłamuje go, że nie jest... Boże, naprawdę można zwariować!

Był w kuchni. Siedział przy stole, z głową w ramionach, jakby nadal dochodził do siebie.

Miał na sobie tylko spodenki. Silny, zgrabny, męski... Do diabła, kochała go!

Purdy zacisnęła zęby.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć - powiedział, ujrzawszy ją w progu.

- Nie musisz nic mówić - mruknęła, siadając naprzeciw niego.

Wprawdzie szlafrok szczelnie opinał jej ciało, ale jakie to miało znaczenie? Pożądał jej jak żadnej kobiety na świecie. Nic dodać, nic ująć.

- Nie mam pojęcia, co się stało - zaczął. - Spałem jak zabity, aż nagle...

Niedawne wspomnienia zawisły między nimi jak ciężka, ponura chmura.

- Nie wiem, co powiedzieć... - powtórzył bezradnie. - Po prostu nie myślałem.

- Rozumiem, Nat. Najpierw miałam sen, a potem po prostu...

- Śnił ci się Ross - stwierdził cicho.

- Tak. To nie taki zwyczajny sen... - Więcej nie była zdolna powiedzieć.

- Zwyczajny, całkiem zwyczajny, gdy jest się zakochanym. Mam rację?

Jego głos brzmiał spokojnie, ale w duszy rozszalała się burza. Pewnie Ross nie sypiał jeszcze z Purdy, lecz była to tylko kwestia czasu. W każdym razie ona była gotowa.

- Przepraszam - szepnęła, nie mając odwagi spojrzeć na niego. Zbyt się obawiała, że w jej oczach odnajdzie prawdę.

Widział jej pochyloną głowę i miejsce na szyi, które jeszcze przed chwilą tak słodko poddawało się pieszczotom jego ust.

Skrzywdzona i nieszczęśliwa, zagubiona i zrozpaczona Purdy potrzebowała pociechy, ukojenia, miłości. Lecz on nie miał do tego prawa.

- To nie była twoja wina - powiedział więc tylko.

- Nie była również twoja, Nat. Byliśmy nieprzytomni, nie wiedzieliśmy, co robimy. To się po prostu wydarzyło.

Niewysłowiona słodycz jej ust? Jedwabisty dotyk jej skóry? Podniecenie, jakie ogarnęło ich ciała? To się wydarzyło ot tak, po prostu?!

- To się po prostu wydarzyło - potwierdził suchym, beznamiętnym głosem.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Nie chciałabym, żeby to coś zmieniło między nami - zdobyła się w końcu na odwagę Purdy, nerwowo obracając na palcu pierścionełk zaręczynowy. - Przecież wszystko układa się tak dobrze. Moi rodzice są przekonani, że zamierzamy się pobrać, Ashcroftowie są spokojni o los dzieci... To jeszcze tylko kilka tygodni. Wrócimy do Australii i będzie po wszystkim. Oboje tego chcemy, prawda?

Nat przysłuchiwał się jej w milczeniu.

Być może Purdy rzeczywiście będzie mogła zapomnieć. Być może nawet już zapomniała. Lecz jak on sobie z tym poradzi?

- Jak rozumiem, mamy udawać, że nic się nie stało. To proponujesz, tak? - upewnił się.

- Jeśli tylko się zgodzisz... - odpowiedziała szybko. - Naprawdę marzę tylko o jednym. Chcę jak najszybciej wrócić do Australii.

Do Rossa, cierpko dopowiedział w duchu Nat.

Niezależnie od tego, jak bardzo będzie oszukiwał ją i samego siebie, musi w końcu przyznać, że nie wiedzieć kiedy zakochał się w Purdy. Namiętnie, żarliwie i... bez wzajemności.

Stał się niewolnikiem tej miłości, nigdy niespełnionej, bolesnej, tragicznej. Jego życie zamieni się w piekło. Już się zamieniło.

Purdy wyjdzie za Rossa, urodzi jego dzieci, będą żyć długo i szczęśliwie. A on, ich zgorzkniały sąsiad, będzie cierpieć w wiecznym niespełnieniu. Taka czekała go przyszłość.

Dlaczego ją spotkał na swej drodze? Czy los zawsze musi być taki okrutny? Zobaczyć raj, lecz nigdy do niego nie wstąpić, toż to najperfidniejsza tortura.

Pozostały mu tylko trzy tygodnie. Ostatnie dni, kiedy Purdy będzie tylko dla niego. Nie miał sił, by z tego zrezygnować, choć powinien. Zobaczyć raj, lecz do niego nie wstąpić... Po co to przedłużać?

- Więc... jak? - powtórzyła zaniepokojona ciszą Purdy. - Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie - odpowiedział powoli. - Nie mam nic przeciwko temu.

Kolejny dzień był ostatnim, jaki pozostał Cleo przed sobotnim ślubem, więc i roboty było mnóstwo. Purdy, jako

druhna, też nie miała chwili czasu na rozmyślania. I całe szczęście.

Nat wybrał się w odwiedziny do Williama i Daisy.

Zwyczaj nakazywał, by noc przed ślubem państwo młodzi spędzili w swych rodzinnych domach i Cleo nie wyobrażała sobie, by mogło stać się inaczej. Purdy, jako druhna, również była do tego zobowiązana.

- Może i ty przeprowadzisz się na tę noc do nas? - zaproponowała Natowi Cleo.

Grzecznie odmówił.

Była to najdłuższa i najcięższa noc w całym jego życiu.

Tęsknił za Purdy.

- Lepiej będzie, jeśli zaczniesz się do tego przyzwyczajając - wymruczał sam do siebie, po raz tysięczny już przekręcając się z boku na bok.

Sobota przywitała zakochanych cudownym słońcem i czystym niebem.

Cleo wyglądała oszałamiająco pięknie, Alex również prezentował się wspaniale.

Kiedy Purdy składała siostrze życzenia szczęścia i wszelkiej pomyślności, ta z uśmiechem powiedziała:

- Teraz twoja kolej, maleńka.

- Mam nadzieję - odpowiedziała Purdy, starając się przywołać na twarz bodaj cię uśmiechu.

W tłumie gości z ledwością rozpoznała Nata. Skupiony i poważny, w nienagannie skrojonym szarym garniturze i z ciemnym krawatem, wyglądał elegancko i bardzo przystojnie.

Kiedy uśmiechnął się do niej serdecznie, poczuła, jak na jej serce spłynęła fala przyjemnego gorąca. Odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

Po chwili straciła Nata z oczu.

Spojrzała na Cleo i Aleksa. Młodzi, szczęśliwi, zakochani w sobie...

Purdy uciekła w marzenia. Jej ślub z Natem, wokół rozradowany tłum, a oni wpatrzeni w siebie, niecierpliwie czekający chwili, kiedy wreszcie zostaną sami...

Otrząsnęła się, jej oczy zaszklily się.

Och, być z Natem na dobre i na złe, na zawsze, do jak najpóźniejszej śmierci... Jak to jest, być z nim? - kołatało się bezlitośnie po jej głowie. Poczucie na palcu ofiarowaną przez niego obrączkę, a potem wspólnie witać kolejne wschody słońca... Jak to jest?

Ktoś trącił ją w ramię. To matka, zaniepokojona jej nieobecny wyrazem twarzy, spytała, czy wszystko w porządku.

Skinęła głową, że tak, choć pragnęła wykrzyknąć, że nie jest w porządku. Wykrzyknąć to Natowi i całej reszcie świata.

Powiedziała mu, że nie chce, by po wczorajszej nocy cokolwiek zmieniło się między nimi. Zapewniała go, że to możliwe.

Dla niego? Zapewne. Ale nie dla niej.

Nie chciała być już anonimową Purdy, nianią do wynajęcia, koleżanką, przyjaciółką. Jedyne, czego pragnęła, to zostać jego żoną.

I o ile się nie myliła, nie było to tak do końca nierealne. Jak na razie był przecież wolny, czyż nie?

Być może uda jej się pozostać w Mack River na dłużej. Może okaże się tak bardzo potrzebna Natowi, że zagnieździ się tam na dobre. Upłynie miesiąc, rok, dwa...

Będzie dbała o dzieci, o dom. O Nata. Będzie gotować, sprzątać, prać. Robić wszystko, byle tylko być z nim. Patrzeć, jak William i Daisy dorastają, jak z biegiem czasu nabierają umiejętności, jak się usamodzielniają.

Będzie dzielić z nim troski i cieszyć się jego radościami. O niczym innym przecież nie marzyła...

Tajemnicza Kathryn pozostanie w swoim Perth na zawsze, a Nat wreszcie o niej zapomni...

Fantazjuje? Jest naiwną idiotką?

Być może.

Lecz jest jeden tylko sposób, by się o tym przekonać.

Działać.

Najpierw czekają ją niezwykle trudne trzy tygodnie, podczas których musi udowodnić sobie i Natowi, że potrafi być twarda, zrównoważona i chłodna. Wszystko bowiem, czego od niej potrzebuje, to opieka nad bliźniętami. Będzie więc tylko nianią... na razie.

Przyszła pora robienia zdjęć. Młoda para w asyście najbliższej rodziny ustawiła się zgodnie z poleceniami fotografa.

- Purdy i ...Nat, zgadza się? - zawołał, przykładając aparat do oczu. - Stańcie odrobinę bliżej siebie. O, tak, bardzo dobrze. A teraz uwaga! Uśmiech!

Nat stał tuż za nią, więc nie mogła go widzieć, ale czuła delikatny dotyk jego ramienia na swych plecach i ciepło jego ciała. Tak bardzo chciała się do niego przytulić.

Zamknęła powieki.

- W porządku, jeszcze raz! - zawołał fotograf. - Purdy, co się dzieje? Nie możesz spać na ślubnym zdjęciu własnej siostry!

Zawstydzona, natychmiast uniosła powieki, przywołując na twarz kolejny uśmiech.

Twarda, zrównoważona, chłodna. Czy nie taka właśnie miała być? A więc zacznij już teraz.

O dziwo, samo wesele nie sprawiło jej już najmniejszego kłopotu. Cleo i Alex zrezygnowali z tradycyjnej biesiady na rzecz szwedzkiego bufetu, dzięki czemu panował miły rozgardiasz. Purdy bez wzbudzania podejrzeń mogła unikać Nata, z czego skrzętnie skorzystała.



Pojawiała się tu i tam, rozmawiała, uśmiechała się, ba, nawet wybuchwała śmiechem. I z pogodną miną potwierdzała, że owszem, tak, następna pójdzie do ołtarza ona.

Jednak zawsze, ilekroć kątem oka spostrzegła znajomą sylwetkę lub usłyszała ukochany głos, natychmiast zmieniała kurs.

Wyglądało zresztą na to, że dla niego nie miało to najmniejszego znaczenia. Nie była nawet pewna, czy Nat w ogóle zauważał jej osobę. Ilekroć bowiem pozwalała sobie na krótkie zerknięcie w jego kierunku, tylekroć był pochłonięty rozmową z kolejną ciotką czy kuzynką Purdy. Panie adorowały go na wyścigi, co Nat przyjmował z lekkim dystansem, lecz zarazem z niepowtarzalnym wdziękiem.

Po kilku godzinach Purdy postanowiła przewietrzyć się w ogrodzie. Wieczorny chłód okazał się doskonałym lekarstwem nie tylko na rozpalone ciało, ale i na rozgorączkowane myśli.

Schodząc po schodkach tarasu, nagle zorientowała się, że w ogrodzie nie będzie sama. Na trawie, w otoczeniu gromadki dzieci, siedział Nat, pokazując im jakieś sztuczki. Maluchy to wybuchały głośnym śmiechem, to patrzyły zafascynowane.

- Uciekłaś z przyjęcia? - zapytał. Skinęła głową.

- W takim razie przyłącz się do nas.

- Ciociu Purdy! - zawołał Ben, widząc jej wahanie. - Nat potrafi robić cuda ze swoimi dłońmi. Chodź, zobacz!

Cuda? Och, wiedziała o tym aż nadto dobrze...

- Doprawdy? - zapytała, zbliżając się w ich kierunku.

- Nat, pokaż cioci!

Nat powtórzył sztuczkę. Była bardzo prosta, jednak u dzieci ponownie wywołała wybuch entuzjazmu.

Potem uprosiły go, by opowiedział coś o Australii. Z zapartym tchem słuchały o kangurach, krokodylach i samotnych ranczach.

Purdy z radością przysiadła na miękkiej trawie i wsłuchiwała się w to, co mówił. Czy raczej jak mówił.

Jego miękki, spokojny głos rozbrzmiewał łagodnie w wieczornej, letniej ciszy. Patrzyła, z jakim przejęciem starał się opisać dzieciom to, czego nigdy nie miały okazji zobaczyć, jak gestykulował, jak się uśmiechał, jak się zamyślał.

I nieważne było to, że nie mówił do niej. Nieważne było, że na nią nie spoglądał. Nawet to, że o niej nie myślał. Liczyło się jedynie, że mogła być tuż obok niego.

Wreszcie dzieci rozbiegły się i zostali sami. Nat przysiadł się bliżej Purdy.

- Jesteś teraz ich bohaterem. - Uśmiechnęła się. - Rzeczywiście krokodyl odgryzł pół twojej łodzi?

Nat roześmiał się.

- Może straty nie były aż tak duże, jednak ślady zębów są tam do dzisiaj. Pokażę ci, jak wrócimy do domu.

Zamarł, zbyt późno zdając sobie sprawę z tego, co powiedział. Wrócić z nią do Mack River było przecież jego życzeniem. Nie jej.

- To prawda. Nie mogę się doczekać powrotu do Australii - odpowiedziała spokojnie, jakby niczego nie zauważyła. Oplatając kolana ramionami, uniosła głowę i spojrzała w niebo. - Twoje opowieści sprawiły, że zapragnęłam znowu zobaczyć to wszystko. Byłam w Cowen Creek zaledwie kilka miesięcy, ale tęsknię za tym miejscem jak za domem. Tutaj wszystko osiąga jakieś zawrotne, kosmiczne tempo. Nie zdążysz nawet dobrze pomyśleć, a rzeczywistość zmieni się ze trzy razy. Nigdy nie czułam czegoś takiego w Cowen Creek. Tam było tak cicho, tak spokojnie... Można spacerować kilometrami i nie spotkać nikogo, prócz ptaków na drzewach.

I Rossa, cierpko dopowiedział w myślach Nat, widząc, jak na twarzy Purdy pojawia się błogi uśmiech.

Czy Ross w ogóle ma pojęcie, jakim jest szczęściarzem? - smętnie kołatało się w jego głowie. Wszystko, czego potrzebuje, to skinąć palcem, a Purdy będzie jego. Żoną, kochanką, matką jego dzieci. Kobieta, z którą spędzi resztę życia.

Kathryn nie była taka, pomyślał. Nie lubiła ziemi, natury, ciszy. Zawsze ciągnęło ją do miasta, do ludzi, do wydarzeń. Nie znosiła monotonii Mack River i uciekała stamtąd, kiedy tylko nadarzała się okazja.

Doskonale wiedział, że Purdy potrafiłaby pokochać to miejsce, jak pokochała Cowen Creek. Udowodniła to tego dnia, kiedy odwiedziła go w Mack River.

To niesprawiedliwe, pomyślał. Było tak wiele rzeczy, które chciał jej pokazać. Wodospad, pod którym kąpali się razem z Edem, gdy byli dziećmi, kaniony, skały... A pod koniec dnia mogliby rozbić namiot daleko od domu, rozpalic ognisko, patrzeć w gwiazdy...

- Myślisz o domu? - zapytała, przyglądając mu się z wielką uwagą.

- Tak.

- Musisz nienawidzić Londynu, Nat.

Nie, nie nienawidził Londynu, chociaż liczył już dni do powrotu. Jakże jednak mógłby nienawidzić to miasto, skoro ona była tutaj?

- Purdy... - zaczął, sam nie bardzo wiedząc, co chce powiedzieć. Albo raczej, jak ma to powiedzieć.

- Tak?

Zanim jednak ponownie zdążył otworzyć usta, ich uszu dobiegł głos matki Purdy.

- Ach, więc tu się schowaliście! - zawołała od drzwi tarasu. - Musicie koniecznie na chwilę do nas wrócić. Ojciec nie może rozpocząć bez was swojej przemowy.

Nat odetchnął z ulgą. Zaledwie chwila dzieliła go od tego, by zniszczyć wszystko i powiedzieć Purdy o tym, co tak naprawdę do niej czuje. Zaledwie chwila, a widziałby ją po raz ostatni w życiu...

Jeśli odtrąciła rękę, którą jej podał, gdy wstawiała, to jakie wrażenie wywarłaby na niej niewczesna deklaracja miłości? Doprawdy, głupiec z niego. Prawdziwy głupiec.

Purdy wstała z miejsca. Siłą powstrzymała się, by nie chwycić dłoni Nata, którą wyciągnął do niej, kiedy podnosiła się z miejsca. Nie była pewna, czy potrafiłaby ją puścić z powrotem. No cóż, za nic nie mogła sobie ufać.

Na szczęście zjawienie się matki podziałało na nią jak kubeł zimnej wody. To wprost nieprawdopodobne, z jaką łatwością, patrząc w jego ciepłe, ciemnobrązowe oczy, zapomniała o Kathryn, o Rossie i marzyła tylko o jednym: wziąć jego twarz w dłonie i całować, całować, całować...

Przemowa ojca była, jak zwykle, krótka i treściwa. Zebrani nagrodzili ją brawami. Następny w kolejce do wygłoszenia mowy był Alex.

Patrząc na Cleo, która z uwagą i entuzjazmem przyjmowała każde słowo swego męża i zupełnie nie kryła się ze swym szczęściem, Purdy ponownie odczuła w sercu delikatne ukłucie zazdrości. Cieszyła się wraz z siostrą, życzyła jej i Aleksowi wszystkiego najlepszego, jednak... żałowała, że podobne szczęście nigdy nie stanie się jej udziałem.

- A teraz - głos Cleo przerwał jej rozmyślania - ja i Alex chcielibyśmy w sposób szczególny podziękować Purdy, która przebyła długą drogę, by być tu dzisiaj z nami. Wiemy, jak ciężko było ci się rozstawać z Australią, Purdy, i dlatego jesteśmy ci ogromnie wdzięczni. Dzisiejszy dzień nie byłby najszcześniejszym w moim życiu, gdyby ciebie tutaj zabrakło.

- A dla informacji tych, którzy być może jeszcze nie wiedzą - dodał Alex - Purdy i Nat w niedługim czasie mają zamiar wrócić do Australii, by tam się pobrać. Korzystamy więc z okazji, żeby życzyć im, by zaznali takiego samego szczęścia jak moja żona i ja.

- Purdy, żebyś na pewno była następna - zawołała Cleo, rzucając w kierunku siostry swój ślubny bukiet. - Łap, maleńka!

Musiała złapać, bo kwiaty przyfrunęły wprost do jej rąk. Skonsternowana, z bukietem w ręku, stała, nie bardzo wiedząc, co powinna ze sobą zrobić.

- Za Purdy! - wykrzyknęli wszyscy, wznosząc do góry kieliszki. - Za Purdy i Nata!

Nat stał tuż za jej plecami, zaskoczony tak samo jak ona sama. Oczywiście było, że wszyscy czekają na ich pocałunek. Byli przecież w sobie zakochani. Co więcej, zaręczeni. Wzniesiono właśnie toast za ich zdrowie, więc chyba...

Odwróciła się do Nata. Zrozumiał. Pochylił się, otoczył jej plecy ramieniem i na jeden króciutki ułamek sekundy dotknął jej ust.

Nim zdążyła się zorientować, było po wszystkim. Wszyscy wokół klaskali i śmiali się, najwyraźniej zupełnie usatysfakcjonowani.

Purdy nie była pewna, czy bardziej czuje się rozczarowana, czy zadowolona z faktu, iż pocałunek Nata skończył się, zanim się na dobre zaczął.

Zadowolona, zdecydowała po chwili. Gdyby pocałunek podobny był do tych, które już знаła, stałaby teraz jak porażona, skupiając na sobie uwagę wszystkich.

A tak mogła swobodnie pomachać bukietem w stronę Cleo i uśmiechnąć się bez troski, jakby jedyną jej troską był termin ślubu i krój ślubnej sukienki.

- Całe szczęście, że mamy to już za sobą! - wykrzyknęła Purdy, opadając bezwładnie na sofę w pustym mieszkaniu Cleo.

- Zaczynałem się już zastanawiać, czy Cleo i Alex w ogóle gdzieś pojedą - westchnął Nat, zdejmując marynarkę i rozluźniając węzeł krawata.

Paradoksalnie pocałunek, który nie tak dawno złożyli na oczach gości, okazał się błogosławiony w skutkach. Był tak bardzo bezosobowy, beznamiętny i chłodny, że wszystko stało się jasne.

Wciąż kocha Kathryn, myślała Purdy.

Wciąż kocha Rossa, myślał Nat.

Byli przekonani, że powtórna utrata kontroli już im nie grozi.

Jednak dla całkowitej pewności Nat wolał usiąść na krześle, niż zająć miejsce na kanapie obok Purdy.

- Nie wiem, jak ludzie mogą stale chodzić w garniturach.  
- Z ulgą rozpiął pod szyją guzik koszuli. - Mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie będzie już takich okazji.

- Nie - zaśmiała się Purdy, masując swoje stopy. - O to możesz być spokojny. I... dziękuję ci.

Nat spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Za co?

- Za wszystko, co zrobiłeś przez ten tydzień - odpowiedziała impulsywnie. - Za to, że uratowałeś moją twarz, że byłeś miły dla mojej rodziny, że włożyłeś garnitur... Za wszystko, naprawdę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział i zabrzmiało to bardzo prawdziwie.

- Tak, cóż... - odchrząknęła speszona Purdy. - Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo doceniam to, że wywiązałeś się ze swojej części umowy. Teraz kolej na mnie. Od jutra rana jestem do dyspozycji twojej i bliźniaków.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- To chyba już wszystko - wysapał Nat, kładąc na podłodze ostatnią z papierowych toreb.

- A więc przeżyłeś? - zażartowała Purdy. Właśnie kończyła karmić Daisy zupką warzywną.

- O dziwo - odpowiedział z uśmiechem.

Dzisiejsza wyprawa po zakupy była pierwszym samodzielnym wypadem Nata do pobliskiego supermarketu. Mimo że miał pewne wątpliwości, Purdy przekonywała go, że na pewno poradzi sobie doskonale.

- Miałem co prawda chwilę kryzysu przy regałach z nabiałem, jednak sprężyłem się i jakoś udało mi się stamtąd wydostać. Później jeszcze tylko droga do parkingu, odnalezienie samochodu i... oto jestem. - Spojrzał na najedzonego już Williama. - Czy ty masz pojęcie, stary, ile tam było samochodów? Setki, tysiące, może nawet miliony! Całe nasze Mathison zmieściłoby się kilka razy.

Purdy roześmiała się.

- Sto razy bardziej wolę Mathison ze swoim jedynym sklepem niż wszystkie supermarkety Londynu - powiedziała. - O, nie, nie, kochanie! Daisy, stanowczo sprzeciwiam się temu, żebyś rozrzucała ziemniaki po pokoju. Słyszysz?

Nat uniósł z podłogi Williama i posadził go sobie na kolanach.

- Pamiętasz, jak zabrałeś mnie do Mathison? - zapytała zamyślona Purdy.

Pamiętał. Pamiętał doskonale. Nigdy nie zapomni łez na jej rzesach i desperacji w głosie, kiedy mówiła: „Kocham Rossa Grangera. Jest jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pragnęłam”.

- Oczywiście, że pamiętam.

- Wydaje się, że to było wieki temu - westchnęła. Sama z trudem potrafiła uwierzyć w to, że zaledwie sześć tygodni temu w jej życiu nie istniało nic i nikt prócz Rossa. Była tak pewna swojej miłości do niego, wiecznej, nigdy nieprzemijającej miłości...

Dzisiaj z ledwością mogła przypomnieć sobie jego niebieskie oczy i szeroki uśmiech.

Co innego Nat... Mogłaby z zamkniętymi oczami narysować każdy szczegół jego twarzy, z najmniejszą dokładnością opisać kolor oczu czy ruchy rąk. Znała sposób, w jaki się uśmiechał i wyraz twarzy, kiedy był zadumany. I to, jak przeczesywał dłonią włosy, kiedy coś wprawiało go w zakłopotanie.

- Dużo się zmieniło od tamtego czasu - mruknął. - Zdaje się, że oboje przeszliśmy długą drogę.

Chyba tylko w sensie geograficznym, pomyślała z goryczą o sobie Purdy. Sama czuła, że jest tam, gdzie znajdowała się sześć tygodni temu - beznadziejnie i bez wzajemności zakochana w mężczyźnie, który nigdy nie będzie jej. Tylko drobiazg, teraz był to zupełnie inny mężczyzna.

- Przyznaj się, jeszcze sześć tygodni temu nie uwierzyłabyś, gdyby ktoś powiedział ci, że niedługo znajdziesz się w Londynie, bawiąc dwoje dziesięciomiesięcznych bliźniaków.

- To prawda - poświadczyła w zamyśleniu, sadzając najedzoną Daisy na dywanie.

Nat ściągnął Williama z kolan i usadził go tuż obok siostrzyczki.

Dziewczynka zaprotestowała, najwyraźniej nie mając ochoty dzielić się z bratem leżącymi na podłodze zabawkami. William nie zwrócił na jej krzyki najmniejszej uwagi. Uśmiechał się radośnie.



- Wiesz, Purdy, bardzo się cieszę, że tamtego dnia zapomniałaś sprawdzić poziom benzyny w baku - powiedział cicho Nat. - Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził.

- Ja również się cieszę - odpowiedziała, nie patrząc na niego. - Nawet nie wiesz, jak uwielbiam być z tymi maluchami!

I z tobą, dodała w myślach.

Spojrzeli na siedzące na podłodze dzieci. Były tak pochłonięte zabawą, że kompletnie nie zwracały uwagi na to, co działo się wokół.

- Maluchy są po prostu cudowne! - po raz kolejny westchnęła Purdy, zastanawiając się, czy sama kiedyś zostanie mamą.

A Nat ojcem.

Ich wspólne dzieci...

- Jestem pewien, że i one cię pokochały - uśmiechnął się Nat, przypominając sobie, jak nieraz bywał zazdrosny o pieśczoć, jakimi Purdy obsypywała dzieci. - Jesteś urodzoną matką.

- Chciałabym, żeby tak było - odpowiedziała cicho, mając nadzieję, że Nat nie odgadł, co siedziało w jej głowie.

Nastąpiła cisza, podczas której Nat usilnie starał się przepędzić obraz Purdy, która trzyma w ramionach dziecko. Jego dziecko. Nie Rossa.

- Mam nadzieję, że dziewczyna z agencji będzie choć w połowie tak dobra jak ty - powiedział, kiedy w końcu udało mu się zapanować nad własną wyobraźnią.

Purdy zamarła.

- Jaka dziewczyna?

- Nie mówiłem ci? - zdziwił się. - Kilka dni temu zadzwoniłem do agencji w Darwin, żeby dowiedzieć się, czy nie mają kogoś do prowadzenia domu, kiedy przyjedziemy do Mack River.

- Nie, nie mówiłeś mi. - Purdy poczuła, jak lodowata dłoń ściska jej serce.

Mimo że nie miał na to najmniejszej ochoty, zmusił się, by zadzwonić do agencji. Niezależnie przecież od tego, jak Purdy pokochała bliźniaki, nie mogła zostać w Mack River na zawsze. Wiedział o tym od początku. Wiedział również, że niezależnie od tego, jak bardzo go to bolało, zasługiwała na swoje szczęście z Rossem.

- Ach, tak... - szepnęła.

Jak to się stało, że znowu zapomniała, czego tak naprawdę dotyczyła umowa i jak długo miała trwać jej opieka nad dziećmi? Nat jednak nie zapomniał.

Wstała i podeszła do lodówki, by schować zakupy.

- Co ci odpowiedzieli? - zapytała z udawanym spokojem, choć było jej smutno.

- Znaleźli kogoś odpowiedniego, ale dopiero od Bożego Narodzenia. Powiedziałem im, żeby szukali dalej.

Palce Purdy bezwiednie ścisnęły kostkę żółtego sera, którą właśnie chowała. Na myśl o „kimś odpowiednim”, kto miałby zająć jej miejsce przy dzieciach, poczuła gęsią skórę.

Więc ma czas najdalej do Bożego Narodzenia? Tylko tyle, żeby Nat tak przyzwyczał się do jej obecności w Mack River, by nie myślał już o szukaniu na jej miejsce nikogo, choćby najbardziej odpowiedniego.

- Mogłabym zostać do tego czasu przy dzieciach, jeśli chcesz - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to zwyczajnie.

- Sądziłem, że chcesz jak najszybciej wrócić do Cowen Creek. - Zatrzymał na niej wzrok.

- Och, tak... - wyjąkała. - Niestety, nie mam od Grangerów żadnej wiadomości. Sądzę, że nowa kucharka zdomowiała się na dobre. Poza tym... mówiłeś kiedyś, że mogę zostać w Mack River tak długo, aż nie znajdę sobie

jakiegoś innego zajęcia. Pomyślałam, że skoro William i Daisy już mnie znają, może mogłabym przez jakiś czas...

Pozostawało mieć tylko nadzieję, że jej ostatnie słowa nie zabrzmiały zbyt desperacko.

- Jesteś tego pewna? - Nat niemal nie wierzył własnemu szczęściu.

- Jestem pewna - odpowiedziała, całą uwagę skupiając na kartonie mleka, które właśnie chowała do lodówki. - O gęsią skórkę przyprawiała mnie myśl, że będę musiała już niedługo rozstać się z bliźniakami.

- Byłoby naprawdę... - Cudownie. Wspaniale. Rewelacyjnie. - Byłoby naprawdę miło z twojej strony. Oczywiście zapłacę ci za opiekę nad dziećmi. A jeśli tylko nadarzy ci się okazja powrotu do Cowen Creek, wystarczy, że powiesz.

Może nie było to dokładnie to, co chciała usłyszeć z jego ust, jednak najważniejsze, że najbliższe trzy miesiące spędzi z nim i z dziećmi.

Tak dużo zmieniło się w ciągu sześciu tygodni, jak mówił Nat. Kto wie, co może wydarzyć się podczas następnych trzech miesięcy?

To chyba wystarczająco dużo czasu, by Nat zdążył zapomnieć na dobre o swej byłej narzeczonej i zrezygnować z usług agencji, pomyślała Purdy. Może nawet przez te trzy miesiące jakimś cudem zdołałby zakochać się właśnie w niej?

Na razie wolą jednak nie szaleć z fantazjowaniem.

Póki co dzielili mieszkanie Cleo, choć już nie łóżko. Purdy pozostała w pokoju gościnnym, Nat przeniósł się na sofę w salonie.

Bliźniaki miały swoją sypialnię, którą do tej pory zajmowali Cleo i Alex.

Jednak wielokrotnie w ciągu nocy zdarzało się, że oboje, Purdy i Nat, spędzali dużo czasu przy łóżeczku dzieci.

Było coś urzekająco intymnego we wspólnym, nocnym wstawaniu, kiedy wydawało się, że cały dom śpi i jedynie oni nadal są na nogach. Tym bardziej że z powodu upałów wkładali na siebie tylko to, co absolutnie konieczne.

Purdy nieraz łapała się na tym, że z zazdrością spogląda na Williama lub Daisy, słodko wtulonych w nagą, muskularną pierś Nata. Wiele by dała, by być na ich miejscu.

Na szczęście płaczące na przemian niemowlaki nie pozostawiały im zbyt wiele czasu na niepotrzebne rozmyślanie. Zmęczenie i troska o Williama i Daisy sprawiały, że ich potrzeby musiały odejść na dalszy plan.

Niemal każdego ranka scenariusz wyglądał tak samo.

Purdy, budzona pogrzykiwaniami dzieci, brała je do swego łóżka, by mogły pobawić się jakiś czas razem z nią. Bliźniaki to uwielbiały.

Potem Nat przynosił jej filiżankę świeżo zaparzonej herbaty, z zasady jednak wypijała ją, gdy była już chłodna.

Pieszczoty z dziećmi, śpiewanie piosenek, buziaki i żartobliwe klapsy były tym, co zajmowało ich niemal bez reszty.

Zaraz po śniadaniu całą czwórką wybierali się na spacer. Czasami odwiedzali państwa Ashcroftów, kiedy indziej wybierali się do rodziców Purdy. Kilka razy zdarzyło im się spędzić przedpołudnie w pobliskim parku, gdzie pośród drzew zieleni trawy i błękitu bezchmurnego nieba, udawało im się zapomnieć, że są w samym sercu Londynu.

Telefon zadzwonił dokładnie w chwili, kiedy Purdy i Nat zajęci byli karmieniem bliźniaków.

Spodziewając się, że to matka, Purdy odwróciła się i sięgnęła po słuchawkę, drugą ręką przytrzymując siedzącego na jej kolanach Williama.

Natomiast Nat dzielnie usiłował poradzić sobie zarówno z zupką Daisy, jak i z nią samą. Jedzenie lądowało wszędzie, tylko nie w buzi dziewczynki.

- Trzymajcie się, zaraz wam pomogę - zawołała Purdy. - Tak, słucham?

- Purdy? To ty? - W słuchawce zabrzmiał przyjemny, męski głos. - Mówi Ross.

Purdy na chwilę oniemiała.

- Ross? - wydusiła wreszcie.

Nat uniósł głowę.

- Tak, to ja. Zadzwońłem pod numer, który mi podałaś, a twoi rodzice skierowali mnie tutaj. Jak sobie radzisz ze wszystkim?

- Świetnie - odpowiedziała Purdy, nadal nie mogąc zebrać myśli. - Świetnie.

- Mam nadzieję, że Nat i bliźniaki nie zamęczają cię za bardzo.

- Nie... jest w porządku.

Purdy spojrzała na Nata. Pochłonięty sprzątaniami po karmieniu Daisy zdawał się zupełnie nie interesować rozmową, jaką prowadziła.

- To dobrze. Słuchaj, Purdy, dzwonię, żeby zapytać, kiedy wracasz.

- W najbliższy czwartek - odpowiedziała niepewnie. - Tak przypuszczam. Dlaczego pytasz? Czy jest jakiś problem?

William, zniecierpliwiony nagłą przerwą w dostarczaniu pokarmu, władował sobie do buzi pustą łyżeczkę. Purdy automatycznie napełniła ją zupką, ze wszystkich sił starając się skoncentrować na rozmowie.

- Nie, nic. Może tylko tyle, że całe Cowen Creek od kilku dni chodzi głodne. - Zaśmiał się. - Dziewczyna, która przyszła na twoje miejsce, nagle zrezygnowała Purdy, byłaś najlepszą kucharką, jaką kiedykolwiek mieliśmy, słowo!

Nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa, tym bardziej że nieodgadniony wzrok Nata, który pochwyciła na sobie, sugerował, że dokładnie wie, o czym jest mowa.

- Tylko nie mów, że odmawiasz! Purdy, nawet nie wiesz, jak tu wszyscy za tobą tęsknimy. Szczególnie ja!

- Wszystko się trochę skomplikowało... - Odkładając Williama na podłogę, wstała z miejsca. - Obiecałam, że pomogę Natowi przy dzieciach i zamierzam dotrzymać słowa. Nie mogę przecież zostawić go nagle z dwójką niemowlaków.

- Och, nie będzie sam! - zaprzeczył Ross. Po jego głosie słychać było, jak bardzo cieszy go to, co ma do powiedzenia. - To następny powód, dla którego dzwonię. Jeśli pozwolisz, chciałbym zamienić z Natem kilka słów. Na pewno ucieszy się, że ktoś tak bliski jego sercu bardzo chce się z nim widzieć. I to jak najprędzej! - Nie zdając sobie sprawy, jak bardzo rani serce Purdy, dokończył: - Kathryn pytała mnie, czy mam jakieś wiadomości o Nacie. Nie może doczekać się jego przyjazdu. Nie dziwię się. Jestem pewien, że w całym Perth nie znalazłaby kogoś takiego jak Nat!

Purdy poczuła, że robi jej się słabo.

Dlaczego, do diabła, zakochała się w Nacie?! Przecież wiedziała o Kathryn. Dlaczego nie zwalczyła tego uczucia?

Ross miał rację. Nie tylko w Perth, ale na całym świecie nie znalazłby się ktoś taki jak Nat. Jego była narzeczona wreszcie to zrozumiała.

- Tak, masz rację. - Z trudem wydobyła z siebie głos.

- Więc co ty na to, Purdy? Zdaje się, że twoja pomoc nie będzie już Natowi potrzebna.

- Nie - potwierdziła drewnianym głosem. - Nie będę mu już potrzebna...

- Ale my wszyscy bardzo cię potrzebujemy - Ross nie dawał za wygraną. - Mówiłaś przecież, że chcesz wrócić, kiedy tylko będzie to możliwe.

Nie mogła zaprzeczyć. Dawno, dawno temu powrót do Cowen Creek byłby wszystkim, o czym marzyła, i telefon Rossa uczyniłby ją najszczęśliwszą kobietą na świecie. To było jednak dawno, dawno temu...

- Rzeczywiście, tak mówiłam.

Nie miała wyboru. Nawet jeśli Nat poprosiłby ją, by dla dobra dzieci została w Mack River chociaż przez jakiś czas, nie mogłaby przecież spokojnie przypatrywać się, jak on i Kathryn budują sobie szczęśliwe, rodzinne gniazdko. To byłoby ponad jej siły.

To, co proponował Ross, dawało szansę, by z całej tej pogmatwanej sytuacji wyszła z twarzą. Nie było to dużo, lecz na nic innego nie mogła liczyć.

Przywołując na twarz wymuszony uśmiech, powiedziała cicho:

- Jeśli sprawa przedstawia się tak, jak mówisz, z przyjemnością wrócę do Cowen Creek.

- Świetnie! - Ross naprawdę bardzo się ucieszył. - Rodzice wprost nie mogą się ciebie doczekać. A co do mnie, to naprawdę się za tobą stęskniłem...

- Mnie też was brakowało. - Cóż innego miała w tej sytuacji powiedzieć?

- A, i zanim zapomnę, mam dla Nata jeszcze jedną wiadomość. Od mojego ojca. Czy mogłabyś mu przekazać, że...

- Możesz to uczynić osobiście - przerwała mu. - Nat stoi tuż obok.

Przyoblekając na twarz promienny, szczęśliwy uśmiech, podała mu słuchawkę.

- Zabiorę dzieci do salonu, a ty porozmawiaj spokojnie z Rossem. Ma dla ciebie kilka ważnych informacji.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- To chyba były miłe wiadomości? - zapytała, wchodząc do kuchni. Nat właśnie odkładał słuchawkę na widełki telefonu.

- Tak, bardzo - potwierdził.

Nie wiedząc, co zrobić z pustymi rękoma, zacisnął je na oparciu krzesła. W głowie huczało mu od natłoku myśli, słów Rossa i tego, co wspominał o Kathryn.

Wszystko to jednak sprowadzało się do jednego: Purdy nie wracała z nim do Mack River. Wracała do Cowen Creek. I do Rossa.

Więc rzeczywiście dla niej musiały być to naprawdę dobre wieści. Najlepsze.

- Zdaje się, że Ross bardzo się za tobą stęsknił.

- Tak, chyba tak. - Purdy miała nadzieję, że w jej głosie słyhać było choć odrobinę entuzjazmu.

Z energią i udawaną obojętnością zabrała się za sprzątanie po jedzeniu. Nie chciała, czy raczej nie miała odwagi, by spojrzeć na twarz Nata. Tak bardzo nie chciała zobaczyć w niej szczęścia. No cóż, jego ukochana wróciła...

- Czy wszystko w porządku? - zapytał cicho. Najwyraźniej wszystkie jej wysiłki, by wyglądać na najszczęśliwszą kobietę na świecie, nie odniosły zamierzonego skutku.

- Oczywiście - potwierdziła szybko. - Ross tęskni za mną i nie może się doczekać mojego przyjazdu. O niczym innym przecież nie marzyłam.

Tak było kiedyś...

Jednak ostatnią osobą, z którą chciałyby się tym podzielić, był Nat. Szczególnie teraz, kiedy wizja jego wspólnego życia z Kathryn znowu nabrała realnych kształtów. Och, jakie to skomplikowane!



- W takim razie cieszę się, że wszystko poszło po twojej myśli - skwitował Nat

No cóż, właśnie pogrzebał swą ostatnią szansę.

- Ja również, choć muszę przyznać, że bardzo będzie mi brakować dzieci - odpowiedziała, i tylko to ostatnie było prawdą.

- Więc prosto z lotniska zamierzasz udać się do Cowen Creek? - zapytał po chwili.

- Cóż, to chyba najlepsze wyjście z sytuacji. Skoro będziesz miał przy sobie Kathryn, moja pomoc nie będzie ci już potrzebna.

Pokiwał głową, choć w duchu wył z rozpaczy. Jak miał powiedzieć Purdy, że jest jedyną osobą na świecie, której potrzebował? Jak miał to uczynić, skoro ona pragnęła być tylko z Rossem?

- Oczywiście, że sobie poradzimy - mruknął. - Choć jestem pewien, że bliźniaki będą za tobą tęskniły.

- T o t y l k o k w e s t i a c z a s u , k i e d y przyzwyczajają się do Kathryn - odparła. - Jestem pewna, że ją pokochają. - Jakim cudem udało się jej to powiedzieć?

Kathryn... Mimo najszczerzej chęci, Nat jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by poświęciła swoją karierę dla nieustannej zmiany pieluch, gotowania zupek...

Zapewne Kathryn czegoś od niego chciała. Z całą pewnością nie chodziło jednak o powrót do Mack River.

O cokolwiek jednak chodziło, Purdy powinna być przekonana, że Nat nie zostanie sam. Niech w dobrym humorze jedzie z Rossem do Cowen Creek i cieszy się swoim szczęściem. Nie zniósłby litości i poświęcenia z jej strony, nie powinna więc poznać prawdy.

Purdy nie pamiętała prawie nic z kilku następnych dni, jakie przeżyli w Londynie. Rozmawiała, jadła, piła, a jedynym jej pragnieniem stało się to, by za wszelką cenę nie dać po

sobie poznać, jak bardzo cierpi. Na każdą myśl o zbliżającym się powrocie do Cowen Creek jej serce przeszywały bolesne, jątrzące ukłucia, a pod powiekami gromadziły się łzy. I tylko czasami, gdy była zupełnie sama, pozwalała na to, by płynęły. Nie przynosiło to jednak spodziewanej ulgi.

W przeddzień wyjazdu ojciec wziął ją na stronę, zapewniając, jak bardzo Nat przypadł mu do gustu, matka udzieliła ostatnich rad dotyczących opieki nad bliźniakami, a Marisa zobowiązała ją, by dała znać, jak tylko z Natem ustalą datę ślubu.

Jakoś to przetrzymała.

Natomiast podczas pożegnania z Ashcroftami prawie się załamała.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszymy, że to właśnie ty będziesz opiekować się dziećmi Laury, kochanie. - Starsza pani miała łzy w oczach. - Harry i ja jesteśmy przekonani, że William i Daisy będą z wami szczęśliwi i że będziecie dla nich wspaniałymi rodzicami.

- Bardzo cię polubiliśmy - potwierdził jej mąż. - Odwiedzajcie nas, o ile to tylko będzie możliwe.

Na chwilę zapadła grobowa cisza.

- Oczywiście - odezwał się cicho Nat. - Będziemy. Kiedy wyszli na zewnątrz, załamana Purdy powiedziała

cicho:

- Mam nadzieję, że kiedyś nam wybaczą nasze podłe kłamstwa. - Zamilkła na chwilę. - Kiedy zamierzasz powiedzieć im prawdę?

- Prawdę o czym?

- O tym, że ty i ja... Że ślubu nie będzie.

- Ach, to - Nat zawahał się. - Za kilka miesięcy dam im znać, że zerwaliśmy ze sobą. Zapewnię ich przy tym, że z Williamem i Daisy wszystko w porządku, więc pewnie nie będą zbyt długo rozpamiętywać rozpadu naszego związku.

Cleo, która odprowadzała ich na lotnisko, również nie kryła żalu z powodu ich wyjazdu.

- Szkoda, że musicie wracać tak prędko - powiedziała, obejmując każde z nich po kolei. - Cóż, wróciłam z cudownej podróży poślubnej i od razu dopadł mnie smutek.

- Uśmiechnęła się. - Ale jest się też z czego cieszyć. Swego czasu byłam przekonana, że wyjeżdżając z dwójką malutkich dzieci w nieznane, robisz błąd, Purdy. Teraz jednak jestem pewna, że wam się uda. Ty i Nat jesteście dla siebie stworzeni.

Przez cały dwudziestoczworogodzinny lot niemal nie odzywali się do siebie, wymianę zdań ograniczając tylko do spraw związanych z dziećmi.

Coś jednak zaintrygowało Purdy. Otóż Nat, jak na kogoś, kto miał spotkać się z miłością swojego życia, był dziwnie markotny i wyciszony. Z drugiej jednak strony zawsze tak się zachowywał. Emocje chował w sobie, a światu pokazywał obojętną twarz. A może po prostu od samego początku był przekonany, że Kathryn do niego wróci?

Purdy cofnęła się myślą do czasu, kiedy wspólnie z Natem pokonywała tę trasę w przeciwnym kierunku.

Jak bardzo była wtedy przekonana o swej miłości do Rossa... Jak bardzo pragnęła wrócić do Cowen Creek i usłyszeć od niego, że tęsknił... I jak bardzo nierealne jej się to wtedy wydawało...

Cóż, nie na darmo mówią, by nie pragnąć czegoś zbyt mocno, bo w najmniej oczekiwanym momencie może się to spełnić. Jak marzenie, które z czasem przemienia się w klątwę...

Purdy spojrzała przez okno samolotu, jednak ujrzała tylko grubą warstwę chmur.

Może, kiedy znajdzie się nagle na lotnisku w Mathison i ponownie spojrzy w niebieskie oczy Rossa,

okaże się, że jej uczucia do niego w jakiś cudowny sposób ożyły? Może zakocha się w nim ponownie, jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy? Był przecież przystojny, zabawny, uroczy... Niemożliwe, żeby nie miało to już dla niej żadnego znaczenia!

Może po kilku dniach spędzonych w Cowen Creek sama będzie zachodzić w głowę, cóż takiego widziała w Nacie i skąd pomysł, że jest w nim zakochana?

Może.

Podparła dłonią głowę i poczuła na policzku jakiś chłodny przedmiot.

Pierścionek. Ten sam, który dostała od Nata tuż przed odlotem do Londynu. Pamiętała, z jaką obojętnością włożyła go na palec. Miała wrażenie, że miną lata, zanim przyzwyczai się do tego małego, okrągłego przedmiotu. Nie minął jednak miesiąc, a pierścionek stał się dla niej czymś tak naturalnym jak słońce na niebie. Był niemal częścią jej samej.

Już nie.

- Proszę, to należy do ciebie - powiedziała do Nata, ściągając pierścionek z palca. - Zdaje się, że nie będzie mi dłużej potrzebny.

- Zatrzymaj go, Purdy.

- Och, nie mogłabym...

- Dlaczego? - przerwał jej chłodno. - Mnie na nic się już nie przyda. Nie planuję w najbliższej przyszłości żadnych zaręczyn. Poza tym to prezent.

- W takim razie dziękuję. - Palce Purdy zacisnęły się wokół maleńkiego, delikatnego kólecčka.

Najwyraźniej ten pierścionek nie znaczył dla Nata nic, z pewnością nie przydałby się też na nic pięknej Kathryn, która, jak przypuszczała Purdy, gustowała w bardziej wyszukanej i kosztowniejszej biżuterii.

Z całego serca Purdy pragnęłaby znaleźć w sobie dość dumy i odmówić naleganiom Nata. Zbyt dobrze wiedziała jednak, że ten maleńki kawałek złota wkrótce stanie się wszystkim, co jej po nim pozostanie. Jeszcze raz z mocą zacisnęła dłoń.

Mimo że ta podróż była tak przykra, Purdy wiele by dała, by nie skończyła się nigdy. Zostało jeszcze trzydzieści siedem minut. Ostatnie trzydzieści siedem minut spędzone z Natem.

Purdy westchnęła ciężko.

Dwadzieścia minut. Piętnaście. Pięć...

Nagle znaleźli się nad Mathison. Maleńkie domki, pusta droga, hotel, sklep, do którego nie tak dawno przecież podrzucił ją Nat...

Kiedy samolot wylądował, Kathryn i Ross czekali już na lotnisku.

Purdy i Nat zbliżali się do nich bez słowa.

William, którego Nat trzymał w swych ramionach, nadal spał. Daisy, którą niosła Purdy, gaworzyła coś rozkosznie, zupełnie nie przeczuwając, co miało się za chwilę wydarzyć.

Rzeczywiście, Kathryn była wyjątkowo piękną kobietą, musiała w duchu przyznać Purdy. Takich kobiet mężczyźni nigdy nie zapominają i zrobią wszystko, by zatrzymać je przy sobie. Jakże naiwna była, sądząc, że będzie mogła zająć jej miejsce w sercu Nata.

Naiwna? Gorzej. Dziecinnie głupia!

Twarz Kathryn promieniała szczęściem.

- Och, Nat, nareszcie - zawołała, rzucając się na jego szyję, nie zauważając śpiącego w jego ramionach dziecka.

Jej okrzyk i gwałtowny ruch spowodowały, że rozbudzony William w jednej chwili zalał się łzami.

Nat, mamrocząc jakieś przepaszające wyjaśnienia, wywinął się zgrabnie z uścisku byłej narzeczonej i odruchowo rozejrzał za Purdy.

Odszukał ją wzrokiem w chwili, kiedy Ross, obejmując ją ramieniem, przywitał czułym pocałunkiem.

- Witaj z powrotem! - Spojrzał na nią przeciągle swym błękitnym spojrzeniem wiecznego chłopca.

O dziwo, Daisy na widok obcej twarzy zareagowała zupełnie inaczej niż jej braciszek. Nat niemal nie wierzył własnym oczom, widząc ją roześmianą i wyciągającą rączki w kierunku Rossa. Najwyraźniej jego słynny urok działał na całą bez wyjątku płęć piękną i wiek nie miał tu nic do rzeczy.

Nat spojrział bezradnie na płaczącego w jego ramionach chłopca, który za nic nie chciał się uspokoić.

- Czy mógłbyś na chwilę potrzymać Daisy, Ross? - zapytała Purdy, wręczając mu dziecko. - Muszę pomóc Natowi.

Nat z wdzięcznością oddał Williama w jej ręce.

- To ty pewnie musisz być Purdy! - Kathryn spojrzała na nią z promiennym uśmiechem. - Witaj! Ross zdążył już opowiedzieć mi o tobie niemal wszystko.

Purdy uścisnęła jej dłoń i rozejrzała się za jakimś cieniem.

Tak jak podejrzewała, William uspokoił się dość szybko. Podała mu butelkę z wodą, którą wyciągnęła z torby.

Nie minęła chwila, jak niezmiennie z siebie zadowolona Kathryn znalazła się ponownie tuż obok niej. Tym razem, z Daisy na ręku.

- Ross i Nat poszli po bagaże - wyjaśniła. - To chwilę potrwa.

Mówiąc to, uśmiechnęła się do Williama, który bezpiecznie umieszczony w ramionach Purdy, odpowiedział jej tym samym.

- Przepraszam, William, wiem, że to moja wina - mówiła dalej Kathryn, bardziej zwracając się do Purdy niż do chłopca. - Nat zawsze śmieje się, że najpierw coś zrobię, a dopiero

później pomyślę. Ale byłam taka szczęśliwa, kiedy go zobaczyłam! Mam mu tyle do powiedzenia! Martwi mnie tylko to, że wydaje się czymś zasmucony, wręcz przybity. Jeszcze nigdy go takim nie widziałam.

- To był męczący lot...

- Tak, wiem, ale odniosłam wrażenie, że nie tylko o to chodzi. - Kathryn rzeczywiście wyglądała na zatroskaną. Po chwili jednak zmieniła temat - Ale, ale. Nie masz pojęcia, jak Ross cię wychwalał, kiedy czekaliśmy na wasz przylot. Jak mu ciebie brakowało i jaką to wspaniałą jesteś kucharką. A wiesz, co mówią o żołądku i sercu mężczyzny, prawda?

Kathryn zaśmiała się, Purdy również odpowiedziała jej uśmiechem.

Właściwie nie było niczego, co mogłaby zarzucić byłej narzeczonej Nata. Rzeczywiście była piękną kobietą, a do tego, jak się okazało, wesołą, otwartą i serdeczną. Choć Purdy pragnęła ją znienawidzić, musiała szczerze przyznać, że nie miała do tego najmniejszego powodu. No, może poza jednym: Nat ją pokochał. Ale za to nie mogła jej winić.

Ross i Nat pojawili się z bagażami.

- Przepraszamy, że musiałyście czekać, ale już po wszystkim. - Nat spojrzał na Purdy z wyraźnym bólem w oczach. - Jeszcze chwila i wszyscy będziemy w domu.

Purdy znów poczuła, że jej serce przeszywa sztylet. W domu... powtórzyła w myślach. Nie tak wyobrażała sobie ten powrót do domu.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli ty i Ross pojedziecie pierwsi - powiedział Nat. - Wezmę Williama.

Purdy, jak porażona, zrobiła to, o co ją prosił.

Chciała coś powiedzieć, pożegnać się z dziećmi, ale jedyne, co mogła, to ucałować ich maleńkie główki.

Nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. O dziwo, nie potrafiła również płakać, choć wprost rozpadała się z bólu.

Spojrzała bezradnie na Nata.

- Do widzenia, Purdy - powiedział, i nagle dotknął delikatnie ustami jej policzka. - I dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Odwróciła się i zrobiła kilka kroków, lecz zaraz obejrzała się ponownie i, spojrzawszy na Nata, zawołała:

- Dasz mi znać, jak się wam układa?

- Możesz być spokojna - odkrzyknął.

- W takim razie do widzenia!

Jak na komendę William i Daisy zaczęli protestować głośnymi krzykami.

Niewiarygodnym wręcz wysiłkiem Purdy zmusiła się, by nie obejrzeć się za siebie, lecz nad łzami już nie zapanowała.

- Spokojnie - powiedział Ross. - Z pewnością dadzą sobie radę. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Niestety, Purdy nie mogła powiedzieć, by w jej przypadku była to prawda.

Grangerowie przywitali ją jak starego, powracającego z dalekiej podróży członka rodziny - serdecznie i wylewnie. Tym bardziej żałowała więc, że nie może odwdzińczyć im się tym samym. Za żadne skarby nie potrafiła wykrzesać z siebie nic więcej poza smutnym uśmiechem. Dodała też, że jest zmęczona podróżą.

Uczciwie mogła powiedzieć, że przez kilka następnych dni robiła wszystko, by jak najszybciej zapomnieć o ukochanym. Wymazywała z pamięci wydarzenia, a pierścionek schowała w najgłębszy kąt szuflady. Nie pytała o Nata i nie szukała sposobności, by czegoś się o nim dowiedzieć. Nadaremno.

Podobne fiasko poniosła, gdy próbowała obudzić w sobie dawne uczucie do Rossa.



Minęły niemal dwa tygodnie, zanim dotarły do niej pierwsze wieści z Mack River.

- Spotkałam w sklepie Bev Martelli - odezwała się przy stole Joyce Granger wkrótce po tym, jak wróciła z Mathison.

- A kto to taki? - zapytała Purdy z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Jej mąż pracuje w Mack River - brzmiała odpowiedź. Purdy poczuła, jak serce zaczyna nagle uderzać gwałtownym, nieopanowanym rytmem.

- Ach, tak...

- Opowiadała, że w Mack River nie dzieje się najlepiej. Podobno Nat Masterman wciąż ma kłopoty ze znalezieniem stałej opiekunki do dzieci. Pierwsza wytrzymała trzy dni, druga niecały tydzień. Biedaczek, podobno ledwie daje sobie sam ze wszystkim radę. Bev stara mu się jakoś pomagać, ale sama ma trójkę małych dzieci.

- A... a co z Kathryn? - Purdy nie wierzyła własnym uszom. - Sądziłam, że przyjechała, by pomóc Natowi przy dzieciach.

- Wszyscy byliśmy o tym przekonani. Jednak Bev mówi, że Kathryn wróciła do Perth od razu, jak tylko pojawiła się pierwsza niania.

Jak to? Więc Kathryn nie ma teraz w Mack River? Co się stało? Dlaczego?

- Zaraz po powrocie z Mathison zadzwoniłam do Nata - kontynuowała Joyce. - zaproponowałam mu, że jeśli chce poprosić o pomoc ciebie, to w ogóle nie musi przejmować się nami. W końcu my jakoś damy sobie radę, a on... Nat nie chciał o tym słyszeć. Zapewniał mnie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i znakomicie daje sobie radę sam. Poza tym już wkrótce agencja ma przysłać kogoś do pomocy.

- Daje sobie radę? - powtórzyła za nią Purdy. - Jak może dawać sobie radę z dwójką niemowlaków i prowadzeniem farmy?!

- Znasz mężczyzn. Są zbyt dumni na to, by przyznać się do porażki. Czasami bywa to tylko śmieszne, ale w tym przypadku odbija się na dzieciach.

- Powinien bardziej myśleć o Williamie i Daisy niż o swojej głupiej dumie! - wykrzyczała oburzona Purdy.

- To przecież zwykły egoizm!

Dwa niemiłosiernie długie tygodnie umierała na samo wspomnienie o Nacie i dzieciach, a okazuje się, że już dawno mogła być w Mack River.

Nat powinien po prostu zadzwonić.

Ale nie! Był na to zbyt dumny. Stokroć bardziej wolał wydzwaniać do tej swojej głupiej agencji i przyjmować jedną nianię za drugą. A jak znosiły to dzieci?! Czy kiedykolwiek się nad tym zastanowił?

Już Purdy przywołała go do porządku. Tak na niego nawrzeszczy, że ucieknie do kąta i będzie cicho przepraszał.

- Pani Granger, czy może mnie pani zwolnić na kilka dni?

- Purdy podjęła decyzję. - Zamierzam wybrać się do Mack River i powiedzieć Natowi Mastermanowi, co o nim myślę. A tak naprawdę należy mu się kara chłosty! - zakończyła z furją.

Nikt nie spodziewał się wizyty Purdy w Mack River, nikt więc nie wyszedł na jej powitanie. Trzymając niedużą torbę podróżną w rękę, ruszyła w stronę domu.

Już w połowie drogi dobiegły do niej znajome odgłosy. Najwyraźniej ani William, ani jego siostrzyczka nie spali. Płacz nasilił się, kiedy stanęła na stopniach drewnianej werandy.

Cichutko, by nie przestraszyć Nata ani tym bardziej dzieci, zajrzała do środka salonu.

Nat usiłował przewinąć Williama, jednocześnie próbując uspokoić wrzeszczącą w kojcu Daisy. Wyglądał na kogoś, kto znalazł się u kresu sił.

- Spokojnie, Daisy, zaraz przyjdzie twoja kolej - powiedział znużonym głosem. - Jak tylko skończę z twoim braciszkiem, natychmiast biorę się za ciebie.

Maleńka twarzyczka Daisy ponownie wykrzywiła się płaczem. Dziewczynka wyglądała jak siedem nieszczęść, z czerwoną buzią i oczami pełnymi łez.

A nie musiało przecież tak być. Jak Nat mógł do tego dopuścić?!

Nie mogąc się już powstrzymać, Purdy weszła do salonu i chwyciła Daisy w objęcia.

- Już spokojnie, maleńka - wymruczała, czule przytulając dziewczynkę. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Wciąż walcząc z pieluszką Williama, Nat kątem oka zerknął w kierunku kojca, z którego jeszcze przed chwilą dobywał się żaloszny płacz.

- Dobra dziewczyn... - zaczął, wciąż nie zdając sobie sprawy z nieoczekiwanej wizyty. - Purdy?! Purdy! Co ty tutaj robisz?

- A jak myślisz?! - odpowiedziała zirytowanym głosem. - Przyjechałam ci pomóc, bo kompletnie zapuścisz dzieciaki. Wydzwaniasz po agencjach, a ja to co? Powietrze? Jak mogłeś?

- Purdy... - Zaniemówił na chwilę. - Tego... no... robię, co w moich siłach. Staram się.

- Nie chodzi o to, by się starać, tylko o to, żeby robić jak należy. - Nie zamierzała mu odpuścić. Jeszcze nie. - To kompletna nieodpowiedzialność, Nat. Czy to twoja duma nie pozwoliła ci zadzwonić do mnie? Myślałam, że jesteśmy... przyjaciółmi. A przyjaciele sobie pomagają. Nie wiedziałeś?

Tak bardzo pragnął podbiec do niej, chwycić ją w ramiona, objąć, przekonać się, że jest prawdziwa. Że to, co widzi, nie jest snem. Tak bardzo chciał powiedzieć, jak za nią tęsknił, jak jej potrzebował...

- Purdy...

- Jak długo to tak trwa? - powiedziała szorstko. - Zaraz, maleńka. - Uśmiechnęła się do Daisy. - Już cię przewijam, kochanie.

Sięgnęła po pieluszkę.

- Trzy dni - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Czyli od czasu, kiedy wyprowadziła się stąd ostatnia niania. Powiedziała, że William i Daisy to trochę za dużo jak na nią jedną. A starałem się jej pomagać, jak tylko mogłem. Błagałem ją, by została do czasu, kiedy agencja przyśle mi następną opiekunkę, ale nic z tego. Pomyślałem, że do tego czasu jakoś dam sobie radę...

- Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie? - Na twarzy Purdy w równym stopniu odbijało się zdziwienie, jak rozgoryczenie. - Musiałeś przecież wiedzieć, że jestem gotowa wam pomóc. Tak się nie postępuje, Nat. Żądam wyjaśnień. Te dzieci nie są mi obojętne, pokochałam je, a ty nie pozwoliłeś, bym się nimi zajęła, kiedy tego najbardziej potrzebowały.

- Dlaczego nie poprosiłem ciebie o pomoc? - powtórzył za nią smutno.

Tyle razy sięgał po słuchawkę telefonu... Tak bardzo tęsknił za Purdy! Tak wiele jej zawdzięczał, tak wiele jeszcze pragnął od niej i tyle sam chciał jej ofiarować. Lecz cóż miał zrobić? Znow wtrącać się w jej życie, a sobie zadawać kolejne rany? Jak miał poradzić sobie z tą głupią, niepotrzebną miłością? Po raz pierwszy w życiu był kompletnie zagubiony.

- Właśnie, dlaczego. Gdyby chodziło o nas, dorosłych, nie byłoby sprawy, ale, na Boga, te dzieci potrzebują troskliwej opieki.

- Tak, wiem, Purdy. Niby masz rację, ale nie do końca. Wiele ci zawdzięczam, lecz masz przecież swoje sprawy, swoje życie...

- Nie rozumiem... Powiedz wprost, o co chodzi. Był jakiś dziwny. Niepewny, zagubiony, smutny. Jak nie Nat. Coś go trapiło i nie chodziło tylko o dzieci.

Purdy spojrzała mu uważnie w oczy. Wyczytała w nich... ale nie, na pewno się myliła. Nie byli sobie przecież pisani.

- Jak mam ci powiedzieć wprost? To nie dotyczy Daisy i Williama, to dotyczy tylko i wyłącznie ciebie.

- Nat, powiesz wreszcie, o co chodzi? - Purdy była u kresu wytrzymałości.

- Dobrze, powiem. Nie chciałem przeszkadzać ci w twoich planach związanych z Rossem. Tyle razy podkreślałaś, jak bardzo ci na nim zależy, jak wielkie nadzieje wiązesz z powrotem do Cowen Creek, że po prostu nie chciałem ci tego psuć. Zasłużyłaś przecież na swoje szczęście, a ja życzę tobie jak najlepiej...

Milczała przez chwilę. To wszystko było takie nierealne, takie nieprawdziwe. Ich znajomość oparta była na udawaniu, na piętrowych kłamstwach, a przecież nie byli łgarzami, wszelkie oszustwo i kręctwo było im obce.

A jednak wciąż błakali się w nieдомówieniach, w grze pozorów. Czas z tym skończyć. Nastąpiła chwila prawdy.

- Posłuchaj, Nat. Coś ci powiem, ale to za chwilę. Najpierw musisz mi coś przyrzec.

- Słucham, Purdy.

- Chodzi o dzieci. Jestem im potrzebna i niezależnie do czego doprowadzi nas ta rozmowa, będę się nimi opiekować. Obiecuję.

- Tak, ale...

- Żadne „ale”, Nat. Obiecaliśmy Ashcroftom, że razem się nimi zajmiemy. Dość tych oszustw. Musimy dotrzymać słowa. Ja muszę.

Była twarda, ostra, zupełnie jak nie Purdy. No cóż, lwica walczyła o małe.

- Dobrze, zgadzam się - powiedział dziwnie miękko i łagodnie.

- A teraz zajmijmy się naszymi sprawami. - Nagle opuściła ją odwaga. Ale co tam, zbłądził się nie pierwszy raz w życiu. Musiała jednak doprowadzić sprawę do końca. Musiała wyznać prawdę, choćby nie wiadomo jak bolała. Była to winna sobie. - Nie dzwoniłeś do mnie, by nie narażać mojego związku z Rossem... a prawda jest taka, że nie ma żadnego związku. To była pomyłka, zwyczajne zadurzenie... Czy nie wiedziałeś, że byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko wrócić z tobą do Mack River? - Purdy niemal rozplakała się. - Pojechałam z Rossem tylko dlatego, że u twojego boku stanęła Kathryn. Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz?

Zapadła cisza. Purdy i Nat wpatrywali się w siebie z taką intensywnością, jakby ujrzeli się po raz pierwszy w życiu. Nie, jakby zobaczyli siebie na nowo.

- Nie rozumiem. Ross, Kathryn... to jakiś kompletny absurd. Wszystko jest nie tak.

- Och, Nat, tak bardzo za tobą tęskniłam. Umierałam z miłości... - wyszlochała Purdy, zasłaniając twarz dłońmi. Łkała coraz głośniej.

Nie, tylko nie to! - pomyślał. Nie dość, że Daisy i William właśnie rozpoczęli swój koncert, to przybyła mu następna beksa. A on miał tylko dwa ramiona do obejmowania i tulenia.

Zanim zdecydował jednak, która z płaks najbardziej potrzebuje pomocy, jeszcze raz powoli powtórzył w myślach słowa Purdy.

Tęskniła za nim. Umierała z miłości.

Kochała go.

- Purdy... - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- Przepraszam, naprawdę przepraszam. - Próbowała wytrzeć łzy, lecz wciąż kapały następne. - Nie miałam zamiaru ci o tym wszystkim mówić, ale jedyne, czego przez ostatnie dwa tygodnie pragnęłam, to być znowu z tobą i z dziećmi. I wtedy pani Granger powiedziała, że mnie nie chcesz... Dlaczego? Co ja ci złego zrobiłam? Czy to grzech się zakochać? Czy ci się narzucałam? Nauczyłam się cierpieć w milczeniu, bo taki już mój los...

- Długo tłumione rozgoryczenie wreszcie doszło do głosu.

- Ale dlaczego mnie nie chcesz, skoro tak bardzo ci jestem potrzebna?

Przy ostatnich słowach z jej oczu ponownie popłynął potok łez.

Dobrze, że wcześniej załatwiła sprawę dzieci. Już ona o nie zadba jak nikt inny. Przynajmniej im nie stanie się krzywda. Po takim wyznaniu Nat najchętniej by się jej pozbył, ale już nie może, bo dał słowo. A ona będzie cierpieć w milczeniu.

- Ja ciebie nie chcę? - zaśmiał się niepewnie. - Purdy, zapragnąłem cię w chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Jak możesz mówić, że ja ciebie nie chcę! To ty mnie nie chciałaś. Ale ja? Oszalałem na twoim punkcie. I to ja zamierzałem cierpieć w milczeniu...

Purdy przetarła zapłakane oczy.

- Naprawdę? - zaszlochała z niedowierzaniem. - Naprawdę?

Przełożywszy Williama na jedno ramię, Nat wyciągnął rękę w jej stronę.

- Chodź - poprosił cicho.

Nie kazała mu dwa razy tego powtarzać. Przybiegła i wtuliła się w niego całym ciałem, trzymając w ramionach najzupełniej już szczęśliwą Daisy.

- Czy naprawdę mam opowiedzieć ci o tym, jak za tobą tęskniłem? O tym, jak bardzo mi ciebie brakowało? I jak bardzo cię pragnę? - wyszeptał, tuląc usta do jej włosów.

Otulił ją szczelnie ramieniem, jakby obawiał się, że znów może ją stracić.

- Mam powiedzieć ci, jak bardzo cię kocham? - szepnął zdławionym głosem.

Uniosła w górę głowę.

Ich usta odszukały siebie z taką łatwością, jakby ćwiczyły się w tym od zawsze. Purdy westchnęła.

To był długi, namiętny pocałunek, jeden z tych, których nie zapomina się przez całe życie.

Nie miała zamiaru dopuścić do tego, by był w jej życiu ostatnim.

- Kocham cię, Nat. Ta dziwaczka Purdy cię kocha.

- Najpiękniejsza dziwaczka na świecie. Gdybym wiedział wcześniej, że twoje serce bije dla mnie... Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał z wyrzutem,

Purdy oparła głowę na jego ramieniu, nie mogąc nadziwić się, jak cudownie jest czuć ciepło jego ciała tuż przy swoim i wsłuchiwać się w spokojny rytm uderzeń serca. Dwóch serc.

- Byłam pewna, że nadal kochasz Kathryn.

- A ja sądziłem, że kiedy w to uwierzysz, będzie ci łatwiej.

- Łatwiej?

- Byłaś przecież do szaleństwa zakochana w Rossie. Nie chciałem krępować cię swoim uczuciem. Nie chciałem, żebyś poczuła się zagrożona, osaczona. Musisz jednak wiedzieć, że nigdy nie kochałem Kathryn tak, jak ciebie. I nigdy już tak nikogo nie pokocham.



- Jednak Ross mówił...

- Najwyraźniej mylił się. Kathryn wróciła tu tylko po to, by oznajmić mi, że wychodzi za mąż. Chciała, bym dowiedział się o tym od niej samej, a nie od kogoś życzliwego, których nie brakuje. To ładne z jej strony, tyle tylko, że nic a nic mnie to nie obchodzi. Jediną kobietą, którą się interesuję, jesteś ty.

Purdy spojrzała na niego. To nie był sen, ale najprawdziwsza jawa. To nie były marzenia, ale rzeczywistość. Piękna, wręcz bajkowa.

I nagle pojęła coś niesłychanie ważnego. Jeśli bardzo się postaramy, może zdarzyć się tak, że rzeczywistość staje się jeszcze piękniejsza od naszych snów i marzeń.

- A ja przez cały ten czas myślałam, że jesteś nieprzytomnie zakochany w...

- Byłem. W tobie.

Delikatnie i czule dotknął ustami jej warg. Poddała mu się z ochotą.

Należeli do siebie. Nic ich nie rozłączy. Powiedzieli to sobie bez słów.

- Proponuję, żebyś jeszcze dzisiaj zadzwoniła do rodziców - wyszeptał - i powiadomiła ich, że ślub będzie tak szybko, jak szybko mogą przyjechać. Rodzice, siostry i cała reszta.

- Nie musimy spieszyć się aż tak. - Szczęśliwa Purdy roześmiała się. - Moja wiza jest ważna jeszcze cały rok. A ja się nigdzie nie wybieram. Choćbyś zaprzągnął sto koni, nie wyrzucisz mnie stąd.

- Nie mam zamiaru czekać dłużej, niż to absolutnie konieczne. - Nat spojrzał na nią poważnie. Zerkając na dziwnie spokojne dzieci, dodał: - Poza tym nie masz nawet pojęcia, jak trudno znaleźć nianię, która chciałaby zamieszkać

w miejscu takim jak to. Chcę mieć absolutną pewność, że już mi stąd nigdy nie uciekniesz. Wolę dmuchać na zimne.

- Więc zamierzasz odwołać tę dziewczynę z agencji? -  
Oczy Purdy mieniły się srebrzystoszarym blaskiem.

- Zadzwoń do nich jeszcze dziś po południu - zapewnił stanowczo. - Powiem im, że znalazłem nianię, jakiej potrzebuję. Że znalazłem... żonę.